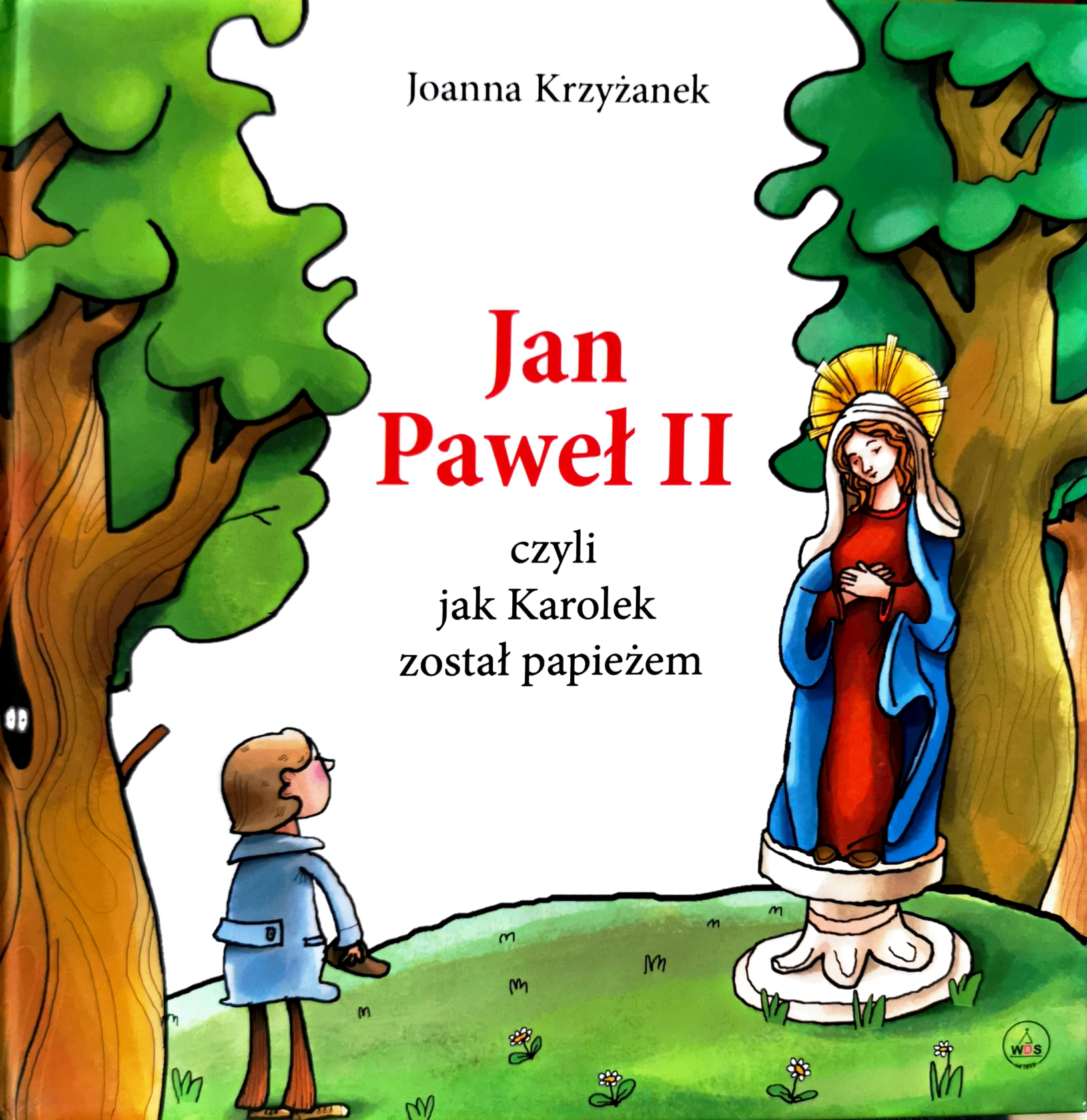


Joanna Krzyżanek

Jan Paweł II

czyli
jak Karolek
został papieżem



Wszystko zaczęło się późną wiosną 1920 roku. W polskim miasteczku, przez które przepływa rzeka Skawa, mieszkali państwo Wojtyłowie. Byli mili i życzliwi. Pani Emilia zajmowała się domem, szyła sukienki i spodnie dla sąsiadów oraz przyjaciół. Pan Karol był zawodowym żołnierzem i pracował w powiatowej komendzie. A ich syn, Edmund,



był nastolatkiem i chodził do gimnazjum. Ich przytulne mieszkanie znajdowało się w domu przy ulicy Kościelnej 7. Zawsze pachniało w nim ciastem i kwiatami. Złożone było z salonu, sypialni i kuchni, w której stał kaflowy piec.



O tym, jak w małym miasteczku urodził się chłopczyk



Był wiosenny dzień. Tulipany rozchylały swoje kielichy. Koty wylegiwały się na dachówkach, a Edmund siedział w szkole. Tego dnia rozpraszał go jakiś niewidzialny rozpraszacz. I to on nie pozwolił mu skupić się ani na matematycznych słupkach, ani na wierszach. W dodatku ten rozpraszacz miał brata, który podczas śniadania usiadł na ramieniu pana Karola. Szepnął mu coś do ucha, co spowodowało, że pan Karol oznajmił swojej żonie, że nie idzie do pracy.

„Dziwne” – pomyślała pani Emilia i zaczęła czytać grubą książkę.

Wkrótce nadeszła pora obiadu. Cała rodzina usiadła przy stole. Odmówili modlitwę i zjedli gorący posiłek. Po przełknięciu ostatniego kęsa mama Edmunda jęknęła, tajemniczo spojrziała na męża i powiedziała:

– Karolu, poproś pana doktora, aby jak najprędzej do nas przyszedł.

– Tak, Emilio – krótko odpowiedział pan Karol.

I choć zawsze z niezwykłą starannością wkładał palto i zapinał wszystkie guziki, tym razem tak szybko wybiegł z domu, że zapomniał o okryciu. Kwadrans później pan doktor wchodził do pokoju pani Emilii. A pan Karol i Edmund czekali w przedpokoju. Długo czekali. Przez kilka godzin w domu państwa Wojtyłów było tak cicho, jakby ktoś ukradł wszystkie dźwięki. Nagle ciszę przerwał głośny płacz maluszka, a po chwili uśmiechnięty pan doktor zakomunikował, że pani Emilia i noworodek czują się dobrze.

– Mam drugiego syna! – krzyknął pan Karol.

– A ja mam pierwszego brata! – ucieszył się Edmund.

Kilka minut później dał maluszkowi na powitanie całusa i poinformował:

– Będziesz miał na imię Karolek.

Gdy ów maluszek miał trzydzieści cztery dni, został ochrzczony. Jego chrzestnymi zostali: Maria Wiadowska i Józef Kuczmierczyk. Po chrzcie ksiądz otworzył wielką księgę chrztów i w rubryce oznaczonej numerem 671 napisał: Karol Józef Wojtyła.

O tym, jak Karolek zadawał mnóstwo pytań

Karolek, jak wszystkie dzieci na świecie, rósł, bawił się i psocił. Od mamy uczył się miłości, dobroci i wrażliwości, od ojca – porządku, sumienności i dyscypliny. A od siostr nazaretanek w przedszkolu – pierwszych modlitw. Gdy tylko zaczął mówić, zasypywał wszystkich dorosłych pytaniami.

Na przykład sąsiadkę pytał:

- Kto jest najwyższy na świecie?
- Dlaczego koty nie latają?
- Czy wszystkie kwiaty pachną?
- Co to znaczy być dobrym?
- Dlaczego cukier jest słodki?
- Czy anioły mają skrzydła?
- Gdzie mieszkają myszy?



Księdza:

- Co oznacza słowo „amen”?

- Gdzie mieszka Pan Bóg?

- Czy Pan Bóg mnie kocha nawet wtedy, kiedy psocę?

- Czy Pan Bóg ma wąsy?

- Ile lat ma Pan Bóg?

Pana listonosza:

- Kto jest najważniejszy na świecie?

- Dlaczego ma pan taką dużą torbę?

- Dlaczego piłka nie chodzi?

- Czy ma pan dla mnie list?


- Co to jest znaczek?

3576

A oni odpowiadali, odpowiadali i odpowiadali.



O tym, jak bramkarz strzelił gola

**M**ały Karol Wojtyła skończył sześć lat i poszedł do szkoły. Był jak odkurzacz, który chce wciągnąć w siebie jak najwięcej. Oczywiście nie kurzowych stworków, ale informacji o ludziach, zwierzętach i roślinach. Jesienią, gdy padał deszcz, grał w ping-ponga i bawił się w teatr z córką sąsiadów, Ginką. Zimą, kiedy na drzewach pojawiały się śniegowe czapy, czytał książki i jeździł na sankach. Wiosną, kiedy wszystko rozkwitało i z godziny na godzinę robiło się coraz cieplej, bawił się w ogrodzie i turlał po łące. A latem, gdy dojrzewały truskawki, pływał w rzece i zamieniał się w piłkarza. Najbardziej lubił stać w bramce. Dzieci z podwórka mówiły, że trudno Karolkowi strzelić gola.

– Prędzej zobaczę latającego pomarańczowego hipopotama niż piłkę w bramce Karola – stwierdziła pewnego dnia dziewczynka z sąsiedztwa, a jej koleżanka dodała ciut złośliwie:

– Może i umie bronić, ale strzelać pewnie nie.

Tydzień później przekonała się, że nie miała racji. Było ciepłe popołudnie. Chłopcy spotkali się na podwórku i wybrali spośród siebie dwóch kapitanów. A ci w ciągu kilku minut skompletowali swoje drużyny. Sędzia odgwizdał na palcach początek meczu. Od pierwszej sekundy walka była zacięta. Po kilkunastu minutach drużyna, w której grał Wojtyła, prowadziła już 2:0. Karol bronił bramki jak rycerz zamku, w którym mieszka ukochana księżniczka. Gdy do końca meczu zostało zaledwie pięć minut, jeden z piłkarzy tak mocno skierował piłkę w kierunku bramki, że Karol musiał podskoczyć i odkopnąć najmocniej, jak tylko potrafił. Piłka wzbiła się wysoko i z niesamowitą szybkością leciała, leciała i leciała, jakby chciała dolecieć do chmur. Nagle skręciła, wybiła szybkość w oknie kościoła i wpadła do środka.

– Ojej! – zawołali piłkarze, a na boisku zapanowała głucha cisza.

– Chyba musimy iść do księdza – odezwał się po chwili najodważniejszy.

– Musimy – westchnął Karol. I poszli.

- To ja wybiłem szybę – natychmiast się przyznał.

- Nie ty, Karolu, lecz psotna piłka – powiedział poważnie ksiądz,
a potem zarechotał.

Po południu, kiedy w kościelne okno wstawiono już nową szybę,
chłopcy i ksiądz zastanawiali się, czy uznać bramkę strzeloną przez
Karola, czy też nie. Podobno dwie dziewczynki z sąsiedztwa też
o tym rozmawiały. Pierwsza twierdziła, że bramkarz nie strzelił
gola. Druga zaś, że tak.



O tym, jak Karol po raz pierwszy przyjął do serca Pana Jezusa

Pierwsza spowiedź zbliżała się do Karola wielkimi krokami, a on zastanawiał się, co jest grzechem, a co nie. Czy grymaszenie podczas posiłków jest grzechem? Czy spóźnienie się do szkoły jest grzechem? Czy marudzenie jest grzechem? Czy obgadywanie jest grzechem? Czy poplamienie ubrania jest grzechem? Czy zjedzenie stanowczo za dużo smakowitych klusek jest grzechem? Czy uszczypnięcie kolegi jest grzechem? Czy grzeszy się, leniuchując? Czy jeśli kogoś okłamię, a potem przeproszę, to grzech zniknie? I czy można nie grzeszyć? Czy grzech ciężki jest cięższy od słonia czy od wieloryba? A grzech lekki jest lekki jak pióro kury czy jak skrzydełko ćmy? A może chodzi o coś zupełnie innego z tymi lekkimi i ciężkimi grzechami? I kogo właściwie grzechy zasmucają? Sąsiada, koleżankę, księdza, siostrę, przyjaciela, ciocię, grzesznika, a może jedynie Pana Boga?

– Duchu Święty, pomóż mi przypomnieć sobie wszystkie moje grzechy. Te duże, te średnie i te malutkie – prosił Karolek kilka godzin przed spowiedzią. – A kiedy już je sobie wszystkie przypomnę, nie pozwól, Duchu Święty, by uciekły z mojej głowy jak motyle z motylarni, zanim się wypowiadam.

Potem włożył zielony sweter i wybiegł z domu. Tuż przed wejściem do kościoła dziwnie się poczuł. Serce biło mu bardzo mocno, ręce drżały jak osika na wietrze, a nogi miał jak z malinowego kisielu.

„Co się ze mną dzieje?” – zaniepokoił się. I wtedy przypomniał sobie to, co mówił ksiądz podczas lekcji religii: „Spowiedź to wyznanie grzechów przed kapłanem. To przez niego Jezus Chrystus odpuszcza człowiekowi grzechy i jedna go z Panem Bogiem”.

I to przypomnienie dodało chłopcu otuchy, a strach stał się jakby mniejszy.

– Idę – szepnął do siebie Karolek i sprężystym krokiem wszedł do kościoła. Podszedł do konfesjonału. Przywitał się z księdzem, wyznał swoje grzechy i nagle poczuł się lekki jak puch. Wydawało mu się, że wyrosły mu skrzydła i zaczyna latać. Latać ze szczęścia.

Następnego dnia podczas uroczystej Mszy Świętej usłyszał:

- W dzień przed męką Jezus wziął chleb i odmówiwszy dziękczynienie, łamał go i rozdawał swoim uczniom, mówiąc: „Bierzcie i jedzcie z tego wszyscy: to jest bowiem Ciało moje, które za was będzie wydane”. Podobnie po wieczerzy wziął kielich i podał go swoim uczniom, mówiąc: „Bierzcie i pijcie z niego wszyscy: to jest bowiem kielich Krwi mojej Nowego i Wiecznego Przymierza, która za was i za wielu będzie wylana na odpuszczenie grzechów. To czyńcie na moją pamiątkę”.

Potem ksiądz wyjął ze złotego kielicha Hostię i podał ją Karolkowi. W ten sposób pod postacią białego jak śnieg opłatka przyszedł do chłopca Pan Jezus.



O tym, jak starszy brat niósł młodszego

Brat Karolka, Edmund, mieszkał i uczył się w Krakowie. Studiował medycynę, bo postanowił zostać lekarzem. Nauki miał tak dużo, że do domu w Wadowicach przyjeżdżał tylko na święta i wakacje.

– Musisz już jechać? – jęczał zawsze Karolek, gdy brat wyjeżdżał.

– Muszę, braciszku – odpowiadał Edmund i rysował na kartce tyle kresek, ile było dni do kolejnych odwiedzin. – Codziennie skreślij jedną – instruował. – Gdy skreślisz ostatnią kreskę, znowu tutaj będę.

No i Karolek skreślał i tęsknił. Tęsknił i skreślał.

– Jeszcze tylko trzy. Jeszcze tylko dwie. Jeszcze tylko jedna – mówił. – Tato, przyjechał Edmund! – rozpromieniał się, gdy starszy brat wchodził do domu.

I tak mijały dni, tygodnie, miesiące i lata. W końcu Edmund zdał ostatni egzamin i przyjechał na dłużej.

– Karolku, bardzo się za tobą stęskniłem – powiedział na powitanie.

– Ale ja stęskniłem się bardziej! – zawołał Karolek.

– A ja, moi drodzy synowie, stęskniłem się za wspólnym obiadem – zaśmiał się pan Karol i już po chwili w kuchni krzątało się trzech kucharzy. Gotowali ziemniaki, rozmawiali, smażyli jajka i żartowali. Pół godziny później pochyłili się nad talerzami.

– Bardzo słone te jajka. – Słoną minę zrobił Edmund.

– Ziemniaki też – dodał Karolek.

– Przecież posoliłem je tylko trochę – zdziwił się tata.

– Ja też je trochę posoliłem – wyznał młodszy syn.

– A ja trochę posoliłem i ziemniaki, i jajka – uzupełnił starszy.

– No to wszystko jasne – podsumował pan Wojtyła i wszyscy parsknęli śmiechem.

Następnego dnia w doskonałych humorach wyruszyli na Jasną Górę, by podziękować Panu Bogu za pomyślnie zdane egzaminy. Potem zaczęli zwiedzać miasto.

- To niesprawiedliwe - w pewnej chwili obruszył się Karolek. - Mam najmniejsze nogi i robię najkrótsze kroki, a muszę chodzić tyle co wy.

- A będzie sprawiedliwe, jeśli wezmę cię na barana i tak będziemy zwiedzać? - spytał młody lekarz.

- Myślę, że bardzo sprawiedliwie - poważnie powiedział Karolek, a pan Wojtyła podziękował Panu Bogu za dwóch cudownych synów.

Po wakacjach Edmund wyjechał do Bielska, by tam leczyć ludzi.



O tym, jak Karol i pan Karol otrzymali telegram



wóch Karolów, mały i duży, codziennie wspominało panią Emilię. Jej ciepły uśmiech, aksamitny głos i piękne oczy. Nucili piosenki, które śpiewała ma-
łemu Karolkowi na dobranoc. Przypominali sobie jej wieczorne opowieści. Oblizywali się na wspomnienie pierogów i marchewkowego placka. Zastanawiali się także, co pani Emilia powiedziała by synowi, gdy po raz pierwszy przystępował do Komunii Świętej, i Edmundowi, gdy został lekarzem.

– Dzisiaj bardziej niż za żoną tęsknię za Edmundem – westchnął pewnego dnia pan Wojtyła. I nie czekając na to, aż tęsknota omota go tak, jak pająk swoją nitką mota muchę, pojechał do syna. Wszedł do szpitala. A że Edmund był jeszcze zajęty, usiadł w poczekalni między panami, paniami i dziećmi. Nagle ktoś wskoczył mu na kolana. Nie był to chłopczyk ani pan w granatowych spodniach. Była to maleńka duma, rosnąca z minuty na minutę. Narodziła się ze słów, które usłyszał.

- Pan Edmund to wspaniały lekarz – powiedziała pani z siwym kokiem.
- Poświęca nam każdą wolną chwilę – dorzucił pan w swetrze z guzikami.
- I opowiada śmieszne historie – rozpromienił się chłopiec.
- Jego poczucie humoru jest jak plasterek na ranę – dodała dziewczynka.
- To nasz prawdziwy przyjaciel – podsumował pacjent z kroplówką.
- Edmundzie, jestem z ciebie taki dumny – nie krył wzruszenia pan Wojtyła, gdy oddalił się ostatni pacjent.

A wieczorem, gdy wrócił do domu, spytał Karola:

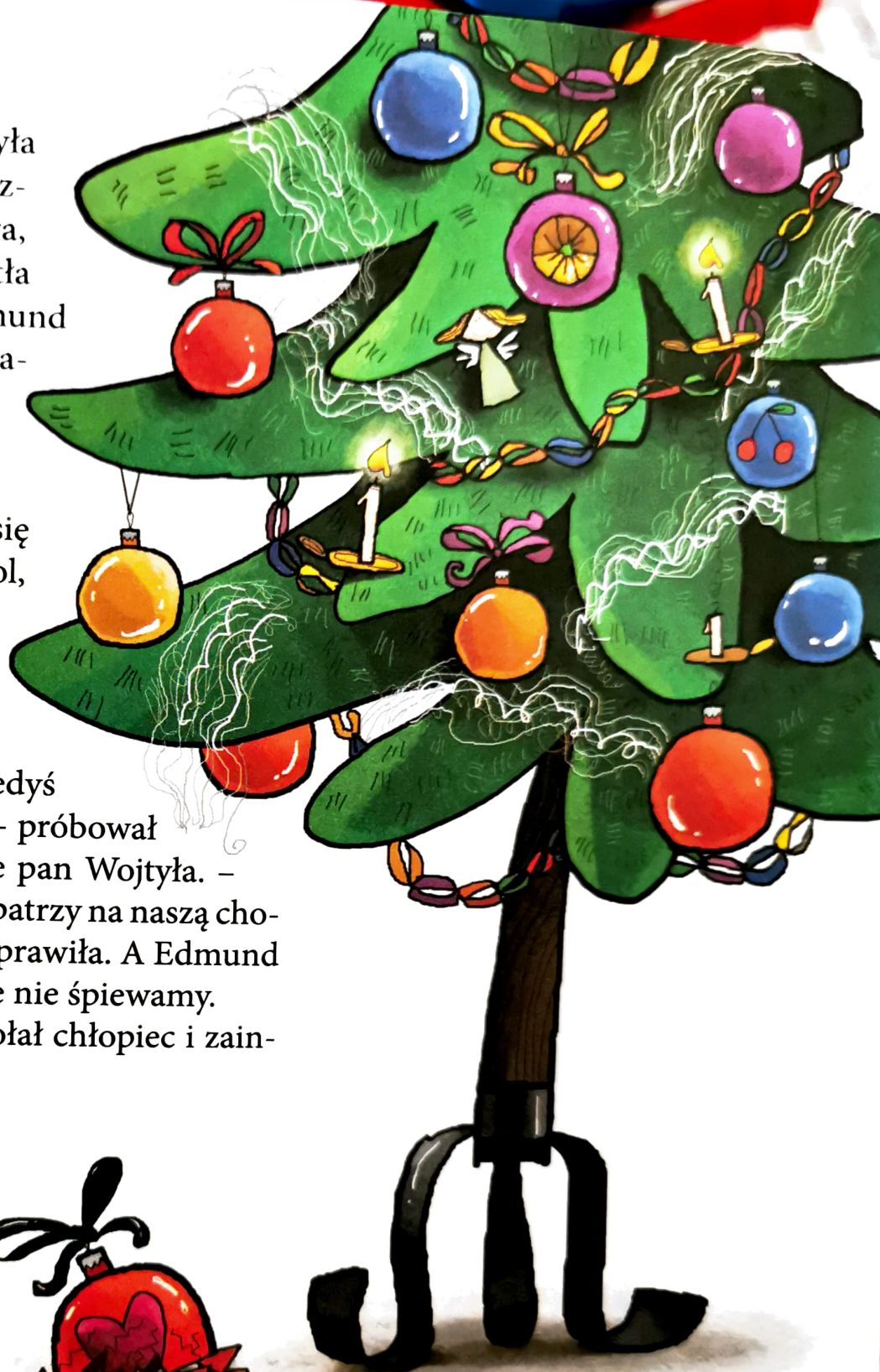
- Może i ty, synku, zostaniesz lekarzem? Tak jak twój starszy brat. Będziesz leczył ludzi, przyklejał plasterki, zszywał rany i przepisywał syropy.
- Nie, tato. Nie zostanę ani lekarzem, ani krawcem. – Karolek pokręcił głową. – Boję się igieł.

Kilka lat później zima była wyjątkowo mroźna. Miasteczko przykryła śniegowa kołdra, a dom Wojtyłów przyniotła straszna wiadomość. „Pan Edmund jest chory, bardzo chory. Zaraził się szkarlatyną od jednej ze swoich pacjentek” – informował telegram.

– Dlaczego nie wyleczył się sam?! – denerwował się Karol, gdy na Boże Narodzenie zamiast do Wadowic Edmund udał się tam, gdzie była już jego mama.

– Nie martw się, synku. Kiedyś się jeszcze wszyscy spotkamy – próbował pocieszyć syna i samego siebie pan Wojtyła. – Jestem pewien, że Emilia teraz patrzy na naszą choinkę i pewnie coś by na niej poprawiła. A Edmund zastanawia się, dlaczego jeszcze nie śpiewamy.

– No to zaśpiewajmy! – zawołał chłopiec i zain-tonował ulubioną kolędę.



O tym, jak Karol poznał księdza Figlewicza



siemnastego maja Karol skończył dziesięć lat, a kilka miesięcy później został gimnazjalistą. Po pierwszej lekcji matematyki, która ciągnęła się jak najdłuższa makaronowa nitka, była przerwa. I jak wszystkie szkolne przerwy na świecie okazała się stanowczo za krótka.

– Postuluję zmianę. Przerwy powinny być tak długie jak lekcje, a lekcje tak krótkie jak przerwy – powiedział kolega Karola, gdy dzwonek wezwał na kolejną lekcję. Wszyscy mu przytaknęli, a potem gęsiego weszli do sali. Klapnęli w ławkach i wtedy dopiero zauważyli stojącego przy pierwszej ławce księdza. Miał sutannę czarną jak tablica. Brakowało na niej tylko kredowej chmurki.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – przywitał się ksiądz. – Nazywam się Kazimierz Figlewicz. Choć moje nazwisko sugeruje, że powinienem przez cały czas płatać figle, będę się starał robić to bardzo rzadko. Obiecuję. Dzisiaj, moi drodzy, opowiem wam o Panu Bogu. Posłuchajcie. Pan Bóg jest miłością... – zaczął opowiadać. I tak opowiadał, i opowiadał. Potem narysował na tablicy serce i znowu zaczął opowiadać i opowiadać.

A uczniowie tak się zasłuchali, że nie usłyszeli nawet dźwięku dzwonka zapraszającego na przerwę. Nie zauważyli też, że do sali jak śledź wślizgnęła się pani od geografii z wielką mapą Polski. I nie wiadomo, jak długo by trwała jeszcze lekcja o Panu Bogu, gdyby nie pani woźna, która przyniosła kredę.

– Bardzo przepraszam, ale wydaje mi się, że za chwilę skończy się duża przerwa – oznajmiła. – Jeśli teraz nie opuścicie sali, to nie zdążę jej przewietrzyć. A jeśli tego nie zrobię, na następnej lekcji zaśniecie jak koale.

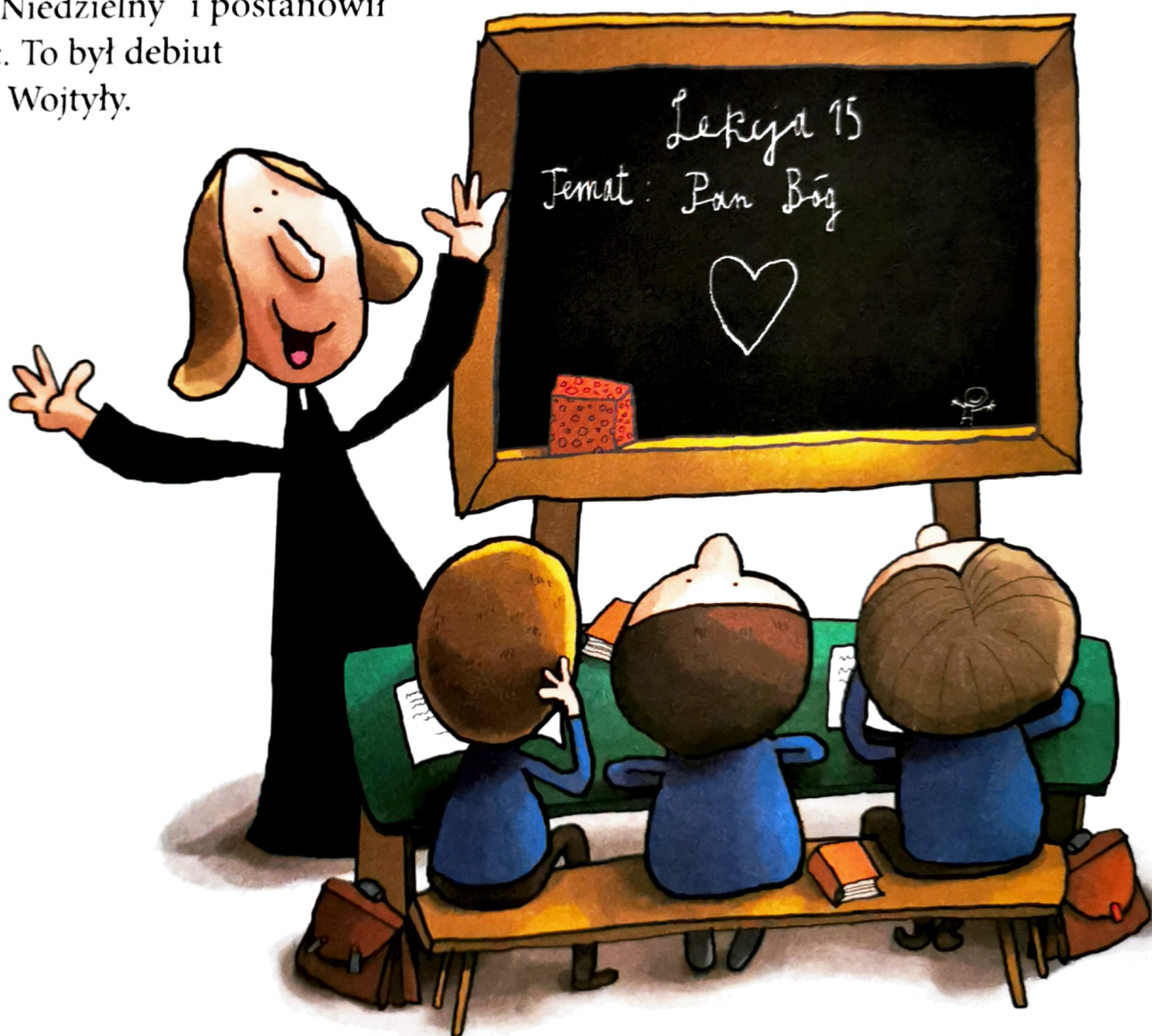
– Ma pani rację – uśmiechnął się ksiądz Figlewicz.

– A ja ponownie postuluję szkolną zmianę. Lekcje z księdzem Figlewiczem powinny być dwa razy dłuższe niż inne. – Po raz drugi odezwał się kolega Karola, a pozostali

- To nie figiel, to fakt - westchnął pewnego dnia ksiądz. - Zostałem przeniesiony do Krakowa. To nasza przedostatnia lekcja.

Na nic się zdały protesty chłopców, decyzja była nieodwołalna. Karol napisał pożegnalną mowę. I choć podczas jej odczytywania nikt nie kroił cebuli, po policzkach chłopców i księdza spływały łzy.

Pożegnalny tekst spodobał się redaktorowi pisma „Dzwon Niedzielny” i postanowił go opublikować. To był debiut prasowy Karola Wojtyły.



O tym, jak Karol był podwójnym aktorem

Karol z chłopca wyrósł na młodzieńca. Starsi mówili o nim, że pracuje jak pszczołka i mrówka razem. Młodszy natomiast nazywali go świetnym planowaczem. – Karolu, czasami trzeba być też leniwcem – radzili ci pierwsi. – Jak ty to wszystko robisz? – pytali drudzy. – Nam ciągle brakuje czasu, a tobie go wystarcza na wszystko. I na czytanie książek, i na spacer, i na słuchanie muzyki, i na gimnastykowanie się, i na śledzenie ważnych wydarzeń na świecie, i na poznawanie historii Polski, i na pomaganie innym, i na spotkania z nami.

– I na modlitwę – dodał Karol i zatopił się w niej po same uszy. A kiedy skończył, zorientował się, że przyjaciele nadal czekają na odpowiedź. – Tak naprawdę nie wiem, jak to się dzieje. Po prostu, jeśli chcę coś zrobić, to czas sam się znajduje. Moje dni same się planują i wypełniają. Ale znam takie miejsce, w którym coś dziwnego dzieje się z czasem. Tam przeszłość miesza się z teraźniejszością i przyszłością. Tym miejscem jest teatr. Kocham go za wszystko. Za słowa, te długie i te krótkie. Za kurtynę, która poruszając się, rozpoczyna coś lub kończy. Ale przede wszystkim kocham teatr za możliwość przeskakiwania z jednego świata do drugiego. I za to, że stając na scenie, można się zamienić w kogoś innego. Na przykład w malarza lub niedźwiedzia, a nawet w robaczka. Uwielbiam teatr nawet bardziej niż bardzo – podsumował.

Niewielu jednak wiedziało, że Karol uczył się nie tylko swojej roli. Ale także tego, co robią i mówią inni aktorzy i aktorki. Czy to nie była strata czasu? Przecież w tym czasie mógł robić coś innego lub po prostu odpoczywać. Niech odpowiedzią będzie to, co stało się pewnego dnia. Widownia wypełniła teatr. Za chwilę miało rozpocząć się przedstawienie pt. „Antygona”, ale się nie rozpoczęło, bo rozchorował się jeden z aktorów.

– Przepraszam widzów i odwołam spektakl – zdecydował reżyser.

– Mogę go zastąpić – nieśmiało zaproponował Karol. – Tyle mieliśmy prób, że to, co mówi drugi aktor, samo wpadło mi do ucha i pozostało w pamięci.

- Zgadza się! Zastąp go - zawołał radośnie reżyser i szepnął do suflera, że Karol to nie tylko dobry aktor, ale także skromny.

W maju, kiedy zaczęły kwitnąć kasztanowce, Karol celująco zdał maturę.



O tym, jak Karol pożerał książki



o maturze pan Wojtyła i syn wyjechali do Krakowa. Wynajęli mieszkanie w suterenie przy ulicy Tynieckiej 10.

– Jakie studia mam wybrać? Jakie studia mam wybrać? – pytał Karol siebie i ojca. – Może te, a może tamte?

– Może te, a może tamte – powtarzał za synem pan Wojtyła.

– A może jednak tamte, tato, a nie te.

– Może jednak tamte, synku, a nie te.

I tak gdybali i gdybali. Kiedy w końcu owo gdybanie zamieniło się w pewność, Karol poinformował, że będzie studiował polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Wkrótce rozpoczął się nowy rok akademicki. Studenci stłoczyli się w uczelnianych korytarzach i zerkali na plany wykładów.

– Tylko tyle? – oburzył się Karol. – To stanowczo za mało. Tylko dziesięć godzin tygodniowo. Muszę to podwoić, a może nawet potroić – postanowił i chwilę później zapisał się na dodatkowe wykłady. I tak z dziesięciu godzin zrobiło się trzydzieści sześć. „Prawie doskonały plan” – pomyślał, zerkając na kartkę z nowym spisem zajęć. Takim Wojtyłowym, oczywiście.

Jeszcze tego samego dnia rozpoczęły się wykłady. Student Wojtyła chłonał wiedzę jak gąbka. A przed wykładami, po wykładach i między wykładami zamieniał się w pożeracza. Ale nie takiego, który połyka wielkie dynie lub michy szpinaku, lecz takiego, który połyka litery, sylaby, wyrazy, zdania, opowiadania i książki. Czytał w każdej wolnej chwili. Przed śniadaniem i po śniadaniu, przed obiadem i po obiedzie, przed podwieczorkiem i po podwieczorku, przed kolacją i po kolacji oraz w nocy. I dosłownie wszędzie: w domu, na uczelni, na łące, w parku, nad rzeką, podczas pieszych wycieczek, a także w autobusie i pociągu.

Wykładowcy nazywali go mołem książkowym. Takim, który po zjedzeniu sporej wielkości księgi ma jeszcze ochotę na książeczkę do schrupania.

Podobno kiedyś pewna pani, która codziennie spacerowała po parku ze swoim psem Baltazarem, opowiadała, że widziała Karola, jak stał na ławce i wykrzykiwał:

- Kocham książki i Kraków! Kocham książki i Kraków! Kocham książki i Kraków!



O tym, jak Karol zyskał nowego brata

Uniwersytet to nie tylko wyraz złożony z jedenastu liter. To także miejsce spotkań wielu ludzi. Profesora z brązową teczką, studentki Marysi z długimi warkoczami, studenta Antka z rozwichrzoną czupryną, pani z ogromną encyklopedią, Julii z szyją owiniętą długim szalem, starszego pana w kapeluszu, Stanisława w granatowych spodniach i pani w okularach, która jest odpowiedzialna za porządek w salach i korytarzach.

Pewnego dnia w uniwersyteckim korytarzu student Juliusz Kydryński rzekł do studenta Karola Wojtyły:

– Karolu, mój przyjacielu. Mam świetny pomysł na wieczór. W domu przemiłej Ireny Szkockiej będzie dzisiaj znany poeta. Przeczyta swoje wiersze i dom właścicielki zamieni w wyspę poezji. Idziesz ze mną?

– Oczywiście – ucieszył się Karol. – Uwielbiam wiersze. One uskrzydłają! – zawołał i zaczął się rozkręcać: – Juliuszu, czy ty wiesz, że niektóre z nich są jak parasole chroniące przed smutkiem? Inne gilgoczą duszę. Są też takie, które nasz profesor nazywa smarowidłem uśmierzającym ból. A ostatnio przeczytałem, że poezja...

Na szczęście nie zakręcił się jak bączek, bo Juliusz zatrzymał go krótkim „stop”.

– To był niesamowity wieczór – westchnął Karol, gdy opuścili wyspę poezji. – Jeśli kiedykolwiek, Juliuszu, będziesz miał równie dobry pomysł, nie zapomnij o mnie – poprosił, zanim udali się do domów.

– Nie zapomnę – rzucił tylko Juliusz i zniknął za zakrętem.

Nowy pomysł pojawił się już następnego dnia.

– Karolu, mój przyjacielu. Mam plan na popołudnie. Może wybierzemy się do mojej mamy? Będzie... – nie zdążył dokończyć, bo z Karola wysypały się pytania:

– Będzie znany muzyk? Zagra na trąbce czy na akordeonie? A może na kontrabasie? Po twojej minie wnioskuję, że jednak to nie będzie muzyk, lecz francuski malarz...

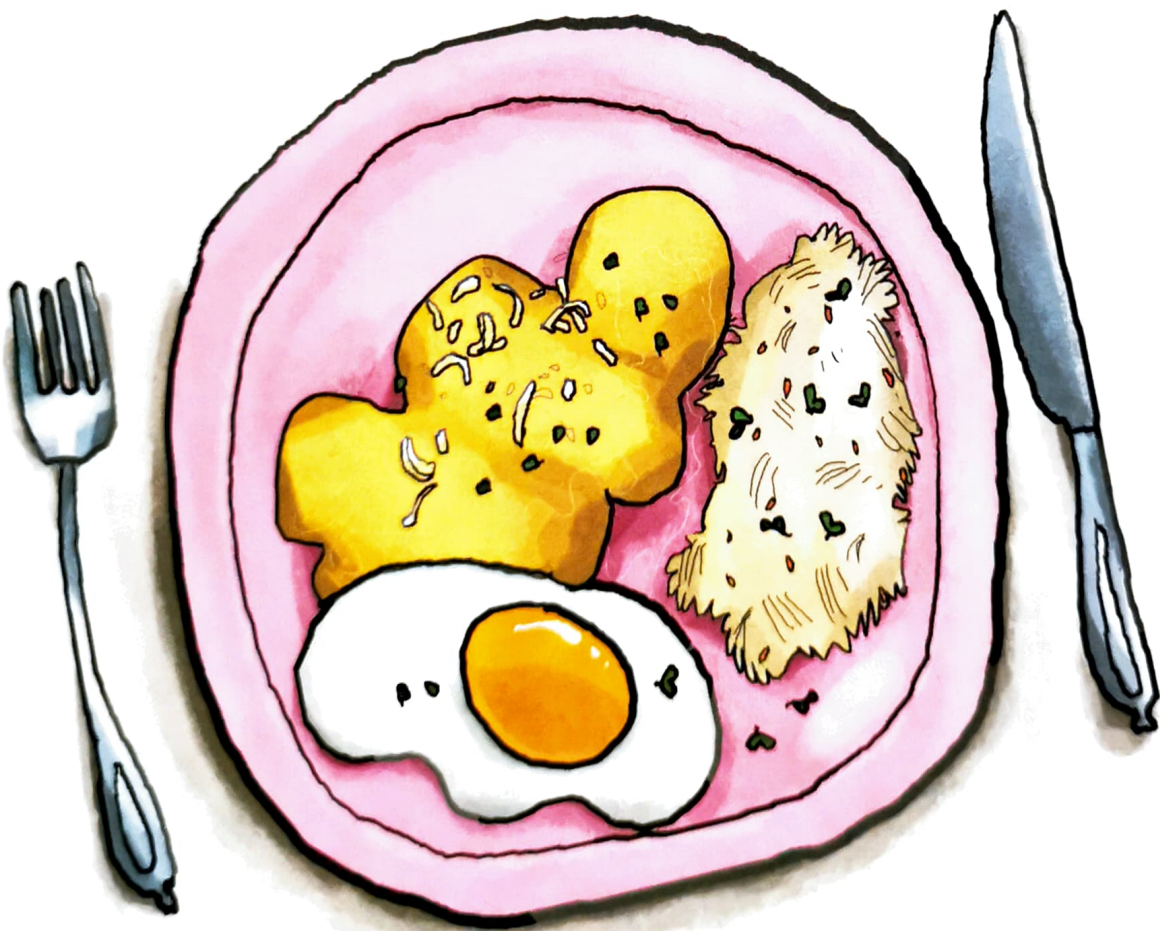
Pewnie zaprezentuje swoje obrazy i pokaże, jak namalować osła lub karalucha. Czyż tak? Kręcisz głową, czyli nie. A zatem przypuszczam, że w domu twojej mamy spotkamy wybitnego naukowca. Pewnie pochwali się swoimi badaniami lub powie nam to, czego jeszcze inni nie wiedzą. A jeśli nie naukowiec, to może aktor. Aktor, Juliuszu?

- Nie, Karolu. Nie będzie u nas ani muzyka, ani aktora, ani naukowca, ani francuskiego malarza. Będą za to jajka sadzone, ziemniaki z cebulką i surówka z kiszonej kapusty.


- No to będzie mniam! - podsumował tylko Karol i przyjaciele zarechotali jak żaby.

- Było mniam! - powtórzył po obiedzie.

Po kilku miesiącach Karol z gościa stał się domownikiem. Dom państwa Kydryńskich był dla niego drugim domem. Juliusza nazwał bratem, panią Kydryńską - mamą, a panią Szkocką, z którą pił herbatę z konfiturami i rozmawiał o sztuce, muzyce i literaturze - babcią.



O tym, jak Karol rozmawiał z dziewczynką

 esień była bardzo pracowita. Malowała liście na rudo, pomarańczowo i czerwono. Rozciągała mgłę między drzewami. Ochładzała wiatrem kamienice. Informowała ptaki, że najwyższa pora przygotować się do podróży. Zachęcała wiewiórki, by uzupełniały zapasy w swoich spiżarniach. I wyciszała letnie dźwięki.

„Wrześniowy Kraków jest taki piękny – zachwycił się Karol, kiedy pewnego jesiennego dnia kroczył do katedry. – Najpierw się wypowiadam, a potem pójdę na długi jesienny spacer – planował i w tej samej chwili usłyszał niepokojące dźwięki. – Co się dzieje? – Zaczął się nerwowo rozglądać. – Czyżby do miasta wkroczył olbrzym w metalowych butach i dzwiczącej zbroi? A może wturlał się wrzeszczący i kłapiący zębiskami potwór? Nie, nie, nie! To jest coś o wiele groźniejszego. To coś wydaje przerażające huki. To coś złowieszczo się śmieje. To coś szczypie, kłuje i gryzie. To coś pluje, pali i połyka. To coś dokucza, wyśmiewa i przeżywa. To coś się zbliża. To coś jest bardzo niebezpieczne. To coś wywołuje panikę. To coś przeraża. I to coś z niewidzialnego staje się widzialne. Muszę uciekać!” – zdecydował i zaczął biec w kierunku katedry.

A nad miasto nadleciały wrogie samoloty. Wyglądały jak chmara metalowych owadów. Przeraźliwie wyły i wypluwały z siebie bomby. Te spadały na ziemię i niszczyły wszystko, co napotkały po drodze. Kamienice, podwórka, autobusy, drzewa, sklepy, szkoły, płoty, fabryki i huśtawki.

– Uciekajmy! Uciekajmy! Uciekajmy! – wołali przerażeni ludzie.

Strach, który się do nich przyssał, skutecznie utrudniał ucieczkę. Niektórzy kręcili się w kółko, jak na karuzeli. Inni kryli się najbliższych domach, a jeszcze inni nie mogli się ruszyć, jakby byli kamiennymi pomnikami. A Karol biegł i biegł. Coraz szybciej i szybciej. W końcu dotarł do katedry.

Chwilę później rozpoczęła się Msza Święta. Podczas kazania ksiądz poinformował:

– Właśnie rozpoczęła się wojna.

I to zdanie tak napęczniało, że wypełniło szczelnie katedrę. Wciskając się nawet tam, gdzie kurz nie potrafił.

Po Mszy Karol klęczał przy ławce i modlił się. Nagle podeszła do niego dziewczynka z pluszowym niedźwiadkiem i cichutko spytała:

– Co to jest wojna, proszę pana?

– To bardzo trudne pytanie – jeszcze ciszej zaczął Karol. – Nie wiem, czy potrafię na nie odpowiedzieć, ale spróbuję. Wojna jest niewidzialna i bardzo lubi spać. To prawdziwy śpioch. Śpi dosłownie wszędzie. Za drzewami, na krawężnikach, pod szafami, nad dachami i w szparach podłogi. I chętnie spałaby wiecznie, gdyby jakiś psotnik jej nie obudził. Wojna zawsze budzi się w złym humorze. Najpierw szarą farbą zamalowuje inne kolory. A potem szepcze ludziom do ucha wymyślone historie i namawia ich do robienia złych rzeczy. Niektórzy nie mają siły protestować, więc słuchają jej i postępują tak, jak ona chce. To ją bardzo cieszy. Zaczyna tańczyć i rozrabiać coraz bardziej. Niszczy domy, wywołuje pożary, kradnie jedzenie i przegania wszystkie radości. Zaraża ludzi smutkiem i sprawia, że się boją. Bardzo się boją – westchnął na koniec, a wtedy dziewczynka uśmiechnęła się i wyszeptwała:


– Moja mama mówi, że jak ktoś się boi, to trzeba go przytulić. To pomaga pokonać strach. I dlatego teraz przytulę niedźwiadka, bo biedaczek trzęsie się ze strachu. Albo to ja się trzęsę i chcę, żeby przytulił mnie niedźwiadek.

Kilka chwil później Karol tulił dziewczynkę, a dziewczynka tuliła niedźwiadka. A może to niedźwiadek ją tulił, a ona tuliła Karola.

– Spróbuję wymyślić kołysankę, która uspi wojnę – powiedziała jeszcze i pobiegła do mamy.

A wojnę, która rozpoczęła się tamtego dnia, udało się ukołysać do snu dopiero po kilku latach.

O tym, jak Karol poznał krawca Jana

Zimie znudziło się królowanie. Nie miała już ochoty wiać mroźnym wiatrem, sypać śniegiem, zamieniać stawów w lodowiska i lepić bałwanów. Postanowiła królewskie berło przekazać budzącej się wiosnie. Wiosna chętnie je przejęła i powitała wszystkich poletkami przebiśniegów. Zakonnicy w tym czasie powitali młodzieńców na wielkopostnych rekolekcjach. Przez kilka dni wspólnie słuchali, rozmawiali, dyskutowali i modlili się.

- Szkoda, że już się skończyły – westchnął młody człowiek w koszuli w kratkę, kiedy rekolekcje dobiegły do mety.

- Czuję się tak, jakby przerwano nam podróż dookoła świata – żalił się chłopak ostrzyżony na języka.

- Schrupałbym jeszcze coś naukowego – stwierdził najniższy z grupy.

- A ja nadal nie znam odpowiedzi na pytanie, czy modlić się można wszędzie – rzekł rozczarowany właściciel mrużącego głosu.

- Marudzić to my umiemy – zaśmiał się Karol. – Co powiecie na zamianę marudzenia w działanie?

- Marudzenie w działanie – powtórzyli wszyscy.

- Marudzenie w działanie – potwierdził Karol. – Czyli spotkanie się w każdą sobotę na rozmowach i modlitwie. Co wy na to?

- Karolu, jesteś wielki – powiedział młodzieniec, który dotychczas milczał.

I tak zaczęła się ich wielka sobotnia podróż przez świat literatury, religii i modlitwy.

- Puk, puk – rozległo się pewnej soboty.

- Kto to może być? – spytał Karol.

- Przecież jesteśmy w komplecie – dorzucił ktoś.

- Proszę – powiedział ktoś inny.

I wtedy do środka wszedł pan w szarym jak myszy ogon garniturze.

- Dzień dobry! - przywitał się uprzejmie.
- Dzień dobry! - odpowiedzieli trochę zdziwieni młodzieńcy.
- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - zaczął gość, ale nie czekał na potwierdzenie, tylko rozglądał się po sali. Jakby wzrokiem mierzył jej szerokość, wysokość i długość.
- Nazywam się Jan Tyranowski. Jestem krawcem. I choć urodziłem się o dwadzieścia lat wcześniej niż wy, chciałbym przychodzić na wasze spotkania. Mam wielką potrzebę rozmawiania o świecie i Panu Bogu. Tylko czy wy macie ochotę ze mną rozmawiać?
- Mamy. Każdy jest u nas mile widziany. Zapraszamy serdecznie - odpowiedzieli zgodnie.

Ale już po kilku sobotnich spotkaniach przestali być tacy zgodni. Okazało się, że część grupy nie polubiła pana Tyranowskiego. Denerwowało ich jego zachowanie, sposób ubierania się i niezbyt eleganckie wysławianie się. Inni natomiast go uwielbiali, bo opowiadał im o Panu Bogu i Jego przykazaniach. Zaciekawiał życiem i poezją Świętego Jana od Krzyża. Uczył kontemplacji, dyskusowania i wyrażania swoich uczuć. I wskazywał, jak nad sobą pracować.

Podobno pewnego dnia pan Jan zrobił im lekcję szycia. Pokazał, jak należy prawidłowo zmierzyć długość rąk, tułowia i obwód klatki piersiowej. A potem rzekł:


- To tyle teorii. Teraz pora na praktykę. Mam nadzieję, że już po kilku moich lekcjach będziecie potrafili uszyć kamizelkę. Najpierw zademonstruję najprostsze ścięgi - poinformował i zademonstrował.

Ale gdy zaczął rozdawać kawałki tkanin, nożyczki, guziki, igły i nici, okazało się, że wszyscy zniknęli. Na szczęście z ich głów nie zniknęło to, co ów wesoły i dobry człowiek mówił. A powtarzał często, że najważniejsze w życiu są miłość i pomaganie, i że są one ze sobą powiązane.

- Jeśli kochamy ludzi, to pomagamy - mówił częściej niż często.

Karol z nauki krawca Jana Tyranowskiego zapamiętał coś jeszcze. To, że należy mówić o swoich uczuciach.

O tym, jak Karol pracował w kamieniołomach

 **T**aczka i kamienie. Taczka i kamienie. Taczka i kamienie. Tak wyglądały dni, kiedy Karol pracował w kamieniołomach. Każdy dzień był wtedy podobny do tego, który był przed nim, i tego, który był po nim. Codziennie wstawał o świcie, jadł z tatą śniadanie i wychodził z domu. Zawsze jednak zatrzymywał się na progu, by wyszeptać słowa, których nauczyła go mama:

„Wychodź z domu, chociaż blisko, z Bogiem wychodź z progu, a gdy wrócisz do niego szczęśliwie, to podziękuj Panu Bogu”.

Potem Karol gnał do kamieniołomów. Przez cały dzień bardzo ciężko pracował. Rozbijał młotem skały. Układał je na taczkach i wrzucał do wagonów. Kamień za kamieniem, kamień za kamieniem, kamień za kamieniem... Najgorzej było zimą. Kawałki skał były lodowate, ręce marzły, a zmęczenie ścisnęło mięśnie. Karol schudł i zmizerniał. A pieniądze, które otrzymywał za pracę, z ledwością wystarczały na jedzenie i węgiel potrzebny do ogrzania mieszkania dwóch panów Wojtyłów.

– Karolu, dlaczego ty nigdy nie narzekasz? – pytali go koledzy podczas przerwy śniadaniowej.

– Po pierwsze, nie lubię narzekać. Po drugie, narzekanie nie rozwiązuje problemów. A po trzecie, zamiast narzekać, wolę podziwiać – odpowiedział.

– My też nie lubimy narzekać, a jednak narzekamy – odezwał się najmłodszy z kolegów. – Narzekamy, bo jest zimno. Narzekamy, bo za ciężko pracujemy. Narzekamy, bo za mało zarabiamy. Narzekamy, bo pada deszcz. Narzekamy, bo mamy dziurę w spodniach... I nie umiemy nie narzekać.

– To powiem wam coś w tajemnicy. Gdy czuję, że zaraz zamienię się w narzekacza, rozglądam się i zaczynam podziwiać. Na przykład teraz mam ochotę ponarzekać na was, narzekaczy, ale wolę podziwiać tego czarnego ptaka, który zjada okruchy po naszych śniadaniach.

O tym, jak Karol podjął ważną decyzję

Choroba wkroczyła do domu panów Wojtyłów, choć nikt jej nie zapraszał. Przytuliła się do ojca Karola i nie chciała go wypuścić ze swoich objęć.

– Proszę leżeć w łóżku, odpoczywać i zażywać te lekarstwa – powiedział lekarz, zostawiając na stoliku pacjenta dwie buteleczki.

– Dobrze, doktorze – słabym głosem zapewnił pacjent. Po czym położył się i dodał, że będzie odpoczywał i będzie zażywał.

– A ja tego dopilnuję – wtrącił Karol i codziennie pilnował tego, by jego tata odpoczywał i zażywał leki.

Niestety, pomimo odpoczywania i zażywania chory czuł się coraz gorzej.

– Tato, idę do apteki – szepnął Karol, gdy skończyły się lekarstwa.

Pół godziny później już z niej wychodził. Po drodze wstąpił jeszcze do państwa Kydryńskich, którzy przygotowali obiad dla pana Wojtyły.

– To jest zupa z jarzyn, a to drugie danie. Zdrowe i pożywne – poinformowała Marysia, córka gospodarzy, i kolejno włożyła do torby Karola słoik z zupą i garnek z drugim daniem. Potem prosząco spojrzała na Karola i spytała: – Mogę odwiedzić twojego tatę?

– Oczywiście, że możesz. Tata bardzo się ucieszy, gdy cię zobaczy – uśmiechnął się Karol i już po chwili razem z Marysią szedł po śniegowym dywanie.

– Już jestem, tato! – krzyknął, gdy weszli do domu. – A właściwie jesteśmy, bo jest ze mną Maryśka. Przynieśliśmy zupę z marchewką. Tato! Tato!! Tato!!! – Karol wołał coraz głośniejsze, ale starszy pan nie odpowiadał. Odszedł tam, gdzie byli jego żona i syn.

– Tato... – rozplakał się Karol.

Wkrótce nastało lato. Jednak okrutna wojna trwała nadal. Karolowi często dokuczał strach, a z głodu burczało w brzuchu. Na szczęście udało mu się zmienić pracę na lżejszą. Nosił teraz wiadra z wapnem i worki z sodą w oczyszczalni wody.

Każdą wolną chwilę wykorzystywał na powtarzanie francuskich słówek: *bonjour!* (dzień dobry!), *photographe* (fotograf), *chenille* (gąsienica), *âne* (osioł), *thermos* (termos), *baguette* (bagietka), *ange* (anioł). I na grę w teatrze Mieczysława Kotlarczyka. Na scenie czuł się doskonale, a reżyser zasypywał go komplementami i uwagami:

- Karolu wspaniale wypowiadasz słowa ze zmiękczeniami. Zagrałeś to perfekcyjnie. Idealnie zdejmujesz kapelusz. Ten grymas nie pasuje do tej postaci. Wyprostuj się. Poruszasz się jak mucha w smole.

Było jednak coś, co dręczyło Karola. Codziennie, nawet w nocy, niczym natrętne muchy latały nad nim pytania: „Karolu, kim chcesz zostać? Najwyższa pora się zdecydować. Może będziesz hydraulikiem? Nie będziesz. No cóż, szkoda. A co myślisz o tym, by zostać szewcem? Albo malarzem? Ojej, też nie! Bo nie lubisz malować. Wolisz pisać. Jednak pisarzem również nie chcesz być. Ani fryzjerem. To kim ty chcesz być?”

„Będę księdzem” – zdecydował pewnego dnia. I był tego pewien, jak tego, że deszcz jest mokry. Natychmiast udał się do teatru.

- Dobrze, że jesteś, Karolu – ucieszył się pan Kotlarczyk. – Właśnie przygotowuję nowe przedstawienie i chciałbym, żebyś został...

- Księdzem – wtrącił się Karol.

- Nie! – zaśmiał się reżyser. – Księdzem nie. W naszym spektaklu go nie ma.

- Ale ja naprawdę chcę zostać księdzem – powtórzył Wojtyła.

- Karolu, co ty wygadujesz – zagrzmiał reżyser. – Chcesz być księdzem... To nie-dorzeczne. Przecież jesteś aktorem. Bardzo dobrym aktorem. Jak mam cię przekonać, żebyś zmienił decyzję? Ten teatr bez ciebie już nie będzie taki sam.

- Będzie po prostu inny – uśmiechnął się Karol i panowie przez kilka minut w ciszy patrzyli na pustą scenę.

Wkrótce rozpoczęła się deszczowa jesień. Wiało, padało i moczyło. Wychudzony Karol stanął przed drzwiami pałacu biskupiego.

- Puk, puk! – zapukał. A kiedy wszedł do środka, oznajmił: – Chcę zostać księdzem.

- Słucham? – zabrzmiał poważny głos arcybiskupa Sapiehy.

- Chciałbym zostać księdzem – jeszcze raz powiedział Karol.
- Ów młodzieniec chciałby zostać księdzem – powtórzył wolno gospodarz pałacu.
- Tak. Bardzo chciałbym zostać księdzem – dobitnie powtórzył gość.
- Doskonale, młody człowieku – zagrzmiał arcybiskup Sapieha. – Myślę, że za kilka lat nim zostaniesz. Jednak na razie będziesz klerykiem, czyli studentem teologii. Musisz przeczytać bardzo dużo książek i wysłuchać wielu wykładów. Zadać wiele pytań i poszukać na nie odpowiedzi. Zapisać wiele zeszytów, wykonać wiele ćwiczeń i rozwiązać setki zagadek.
- Ale ja właśnie o tym marzę – uśmiechnął się Karol. – Chcę się uczyć. Bardzo chcę się uczyć.
- A ja się bardzo cieszę. – Do uśmiechu Karola dołączył uśmiech arcybiskupa.

Wkrótce kleryk Karol razem z innymi klerykami zaczął się uczyć. Niestety, przeszkadzał im w tym okupant. Zabronił studiowania, śledził ich i nauczycieli. Nie pozwalał nosić sutann. A jeśli kogoś na tym przyłapał, srogo karał i zamykał w więzieniach.

Na szczęście klerycy i profesorowie znaleźli na to sposób. Zamiast w szkole spotykali się w prywatnych mieszkaniach. A zamiast sutann nosili swetry i spodnie.

Karol każdą wolną chwilę wykorzystywał na powtarzanie angielskich, francuskich, hiszpańskich, włoskich, niemieckich, rosyjskich i łacińskich słówek.

O tym, jak kleryk Karol rozdawał chleb



Dachy domów przypominały ser z dziurami. W wielu oknach brakowało szyb, a płoty wyglądały, jakby nadepniętą na nie olbrzym. Wszystko przez wojnę, która nadal psociła i niszczyła. Topiła mosty, dziurawiła drogi, wyjadała zapasy ze spiżarni. Skłócała, szczypała, gryzła, popychała i przeżywała. I nie chciała zasnąć. Może dlatego, że lubiła robić wszystko na przekór. Albo cierpiała na bezsenność. Na szczęście pewnego dnia ucichła, ziewnęła i zasnęła.

– Może wojna tylko drzemie? – szeptano i zastanawiano się, czy po drzemce wypoczęta wojna nie będzie miała więcej energii do psocenia.

Wkrótce okazało się, że jednak nie drzemała, lecz zapadła w głęboki sen.

– Koniec wojny! – cieszyli się jedni.

– Koniec wojny! – płakali ze szczęścia jeszcze inni.

A dzieci podskakiwały jak gumowe piłeczki i wołały:

– Koniec! Koniec! Koniec!

– To naprawdę koniec? – wątpili nieliczni.

Po dniach radości i niedowierzania zaczęły się dni planowania i odbudowywania. Klerycy też działali. Któregoś dnia od samego rana malowali ściany w jednej z sal w seminarium. Gdy dwie z czterech ścian były już pomalowane, wbiegł kleryk Wojtyła, zahamował przed nimi i sapnął:

– Muszę pomóc.

– Słuszna decyzja – odezwał się kleryk z kapką farby na nosie.

– No, nareszcie – dodał drugi.

– Każda para rąk nam się przyda – dorzucił trzeci.

– Tam są pędzle, a tam farba. – Wskazał czwarty.

– Jeśli nam pomożesz, szybciej skończymy – podsumował piąty.

Ale Karol nie wziął pędzla, nie wymieszał farby i nie zaczął malować. Za to odwrócił 44 puste wiadro, usiadł na nim i przemówił drżącym głosem:

– Muszę wam o czymś opowiedzieć. Dwie godziny temu poszedłem do piekarni. Już z daleka czułem zapach świeżutkiego chleba. I to on uruchomił moją wyobraźnię. Ona zaś natychmiast namalowała przede mną chleb z chrupiącą skórką. Przyspieszyłem więc i po kilku minutach byłem w piekarni. Poprosiłem o cztery chleby. „Bardzo proszę” – powiedział piekarz i wsunął bochenki do mojej torby. A kiedy ją zamykałem, zauważyłem dwie dziewczynki i chłopca. Stali przed sklepem. Ich nosy były przyklejone do szyby, a wzrok przeskakiwał z jednego bochenka przyprószonego mąką na drugi. Wyglądali tak, jakby chcieli zjeść je oczami. Natychmiast wyszedłem z piekarni i spytałem: „Macie ochotę na kawałek chleba?”. „Tak!” – zawołały chórem dzieci, ale nie podbiegły do mnie. Stały tam, gdzie wcześniej i czekały na powtórne zaproszenie na chlebową ucztę. „Macie ochotę na chrupiącą skórkę chleba?” – zapytałem raz jeszcze i wtedy do moich uszu dobiegło trzy razy „tak”. Podałem chleb kolejno starszej dziewczynce, młodszej i chłopcu. „Ale pysny!” – zawołała po pierwszym kęsie mała dziewczynka. Chłopiec dodał „Niebo w gębie!”. A starsza podziękowała i powiedziała z powagą: „Ja mam na imię Marysia, to jest mój brat Józek, a to maleństwo to nasza siostrzyczka Krysia. Nasza mama jest bardzo chora. Od wczoraj niczego nie jedliśmy, ale teraz mamy pełne brzuszki. Bardzo dziękujemy. Dzięki księdzu przestało nam burczeć w brzuchach”. Potem schowała połowę swojego kawałka chleba do kieszeni. „To dla mamusi” – wyjaśniła, wyprzedzając moje pytanie. „A to dla was, na jutro” – powiedziałem, podając im dwa chleby. „Dziękujemy. Bardzo dziękujemy” – podziękowała Marysia i dzieci pobiegły do mamy. A ja z czwartym chlebem zacząłem iść do was. Wybaczcie, do seminarium doniosłem tylko okruchy. Po drodze spotkałem jeszcze inne głodne dzieciaki. Niestety, nie nakarmiłem wszystkich. Nawet gdybym miał ciężarówkę wypełnioną chlebami, i tak by ich zabrakło, by nakarmić wszystkie dzieci.

– No to musimy zdobyć dwie ciężarówki jedzenia – natychmiast zareagował kleryk ochlapany farbą.

– Albo trzy – dorzucił czyścioch.

– Cztery! – zawołał najniższy.

– A najlepiej pięć – mruknął kleryk, który zazwyczaj milczał.

Jak postanowili, tak też zrobili. Kilkadziesiąt godzin później zaczęli zbiórkę żywności odzieży. Podobno jeden z kleryków rozplakał się jak maluszek, kiedy spotkał dziewczynkę, która uszyła dla siebie i dwóch koleżanek rękawiczki z wełnianych skarpet.

Nastala zima. Szczodrze obdarowywała mrozem, wiatrem i śniegiem.

- Kiepski ze mnie szewc - mrucał pod nosem kleryk Karol, naszywając łatkę na jedną z siedmiu dziur w prawym bucie.

- Chętnie ci pomogę - zaoferował swoją pomoc drugi kleryk, ale nie zdążył nawet nawlec nitki na igłę, bo zjawila się starsza pani.

- Proszę nie naszywać - powiedziała, podając Karolowi nowiuteńkie buty.

Były idealne. Wysokie, ciepłe, sznurowane i nie potrzebowały ani jednej łatki.

- Bardzo pani dziękuję. Bardzo - podziękował Karol, a kilkadziesiąt godzin później znowu przyszywał łatki do swoich starych butów.

- A gdzie są twoje nowe buty? - zaciekawił się kolega Karola.

- Ktoś potrzebował ich bardziej niż ja - odpowiedział właściciel butów z dziurami.

- A czy ten ktoś potrzebował także twojego wełnianego swetra bardziej niż ty? - padło drugie pytanie.

- Tak - potwierdził Karol. - To przecież tak oczywiste jak to, że mój prawy but ma siedem dziur, a lewy cztery. I mam nadzieję, że oczywiste jest także to, że pomożesz mi załatać dziury w lewym bucie, bo tymi w prawym zajmę się ja.

Dwie godziny później buty zamiast dziur miały łaty. Wyglądały jak nowe. Podobno klerycy nazywali je łaciatkami.

O tym, jak Karol został księdzem

Kleryk Karol zdał ostatni egzamin. Od czubka głowy aż po pięty wypełniła go radość. Z niecierpliwością czekał na święcenia kapłańskie.

– Jutro spełni się moje największe marzenie. Zostanę księdzem – westchnął. I od tego westchnienia czas, zamiast wartko płynąć, ślimaczył mu się i ślimaczył. Minuty dłużyły się, a godziny rozciągały.

– Nareszcie wieczór – odetchnął z ulgą, gdy zegar zaczął nawoływać do spania.

– Ale tej nocy nie spał, lecz modlił się, czytał Biblię i rozmyślał. Zasnął dopiero nad ranem. A kiedy słoneczne promienie połaskotały go w nos i policzki, wyskoczył z łóżka i pobiegł do kościoła.

Kilka godzin później otrzymał święcenia kapłańskie z rąk arcybiskupa.

– Jestem księdzem! Jestem księdzem! Jestem księdzem! – cieszył się, a radość tryskała z niego jak woda z fontanny.

Następnego dnia odprawił trzy Msze Święte w katedrze wawelskiej: pierwszą – za dusze matki, ojca i brata, drugą – za wszystkich zmarłych, trzecią – w intencji, którą wyznaczył mu papież.

A już trzeciego listopada wyruszył do rodzinnych Wadowic. Nie mógł się doczekać, by spotkać się z przyjaciółmi, zajrzeć na znajome podwórka, sprawdzić, czy nadal w płocie sąsiadki jest dziura. I odprawić Mszę Świętą w kościele, w którym po raz pierwszy przyjął do serca Pana Jezusa.

– To dla ciebie, księżo Karolu – powiedzieli po Mszy przyjaciele, wręczając mu piękną nową sutannę.

– To dla mnie? – radośnie zdziwił się Karol.

– Tak – padła zgodna odpowiedź.

– Bardzo dziękuję – podziękował ksiądz i podskoczył z radości jak królik, który dostał chrupiącą marchewkę.

Kilka dni później w krakowskim kościele po raz pierwszy w życiu ochrzcił dziecko.

A dwa tygodnie później arcybiskup wysłał księdza Wojtyłę na studia doktoranckie do Rzymu.



O tym, jak Ojciec Pio przepowiedział Karolowi przyszłość



Liście odczepiały się od gałęzi, a jesień je łapała. Potem razem z wiatrem tknęła z nich szeleszczące dywany. W tym samym czasie ptaki przygotowywały się do dalekiej podróży. Były wśród nich takie, które miały ją odbyć po raz pierwszy, i takie, które robiły to już od wielu lat. Gdyby ksiądz Karol był jednym z tych skrzydlatych stworzeń, należałby do pierwszej grupy.

„To już dzisiaj” – pomyślał o poranku i włożył do walizki trochę ubrań, szczoteczkę do zębów, kilka książek i sporo marzeń.

Potem udał się na dworzec, a kilkanaście minut później wsiadał do pociągu razem z klerykiem Stanisławem Starowieyskim.


- Najpierw Paryż, potem Rzym! – zawołał kleryk, kiedy siedzieli już w przedziale.
- Tak, Stasiu. Najpierw Paryż, potem Rzym – powtórzył ksiądz Karol. I pociąg ruszył.
- Tu-tum! Tu-tum! Tu-tum! – Pociąg zawiózł ich do Paryża.
- Tu-tum! Tu-tum! Tu-tum! – Pociąg przewiózł ich ze stolicy Francji do Rzymu.

Paryż ich zachwycił, a w Rzymie oprócz zachwyty czuli jeszcze coś, czego nie potrafili opisać słowami. Przybyli tu nie po to, by jeść pyszne włoskie makarony, lecz po to, by się uczyć. Wiosną wybrali się do miasteczka San Giovanni Rotondo. Najpierw uczestniczyli we Mszy Świętej, a potem ksiądz Karol poszedł do spowiedzi do słynnego kapucyna Ojca Pio. Spowiedź ta zamieniła się w długą rozmowę. I wtedy stało się coś dziwnego. Zakonnik uklęknął przed księdzem i powiedział:

- Zostaniesz papieżem.
- Zostanę papieżem? – zdziwił się Karol. I wypełniło go niedowierzanie.

Podczas pobytu w Rzymie ksiądz Wojtyła napisał pracę doktorską po łacinie. Obronił ją z wyróżnieniem. Ale nie przyznano mu tytułu doktora, gdyż nie spełnił ostatniego z warunków. Nie opublikował pracy doktorskiej, bo nie miał pieniędzy.

O tym, jak ksiądz Karol został wikarym

 **N**owa praca przydreptała do księdza Karola w lipcu. Został wikarym w parafii w Niegowici, oddalonej od Krakowa o pięćdziesiąt kilometrów. Przed wyjazdem arcybiskup Sapieha zostawił mu kilka ważnych informacji:

– Księżę Karolu, parafia ta obejmuje trzynaście wiosek rozrzuconych po obu brzegach Raby. Stoją w niej gliniane chaty bez prądu i kanalizacji. Mieszkają w nich dobrzy, ale bardzo biedni ludzie. Opiekuje się nimi proboszcz, Kazimierz Buzała. I choć pracuje od świtu do zmroku, nie nadąża z wykonywaniem wszystkich obowiązków. Proszę cię, abyś mu pomagał, a ja będę się za ciebie modlił.

– No to jadę – powiedział ksiądz Karol.

Najpierw jechał pociągiem, potem wozem drabiniastym, a ostatni, spory odcinek drogi pokonał pieszo. Gdy dotarł na miejsce, ucałował ziemię i wszedł do kościoła. Uklęknął przed Najświętszym Sakramentem i zaczął się modlić. Nagle ktoś delikatnie poklepał go po ramieniu.

– Witam w naszej wiosce i zapraszam na obiad – rozległ się głos proboszcza.

– Szczęść Boże, księżę proboszczu! – przywitał się Karol. – Jestem głodny jak wilk, więc zaproszenie na obiad przyjmuję z przyjemnością.

Bardzo szybko Karol poczuł się w parafii jak domownik i tak często, jak tylko się dało, powtarzał swoim parafianom i parafiankom:

– Nie marnujcie ani jednej minuty z dnia danego wam przez Pana Boga.

On nie marnował. Organizował wycieczki, odprawiał Msze Święte, odwiedzał chorych, pomagał w polu, odrabiał z dziećmi lekcje, grał z nimi w piłkę nożną i siatkówkę, modlił się, rozmyślał, pisał i czytał. Nie zapomniał też o swoich przyjaciółach w Krakowie. Co kilka tygodni wsiadał na rower i po trzech godzinach był w swoim ukochanym mieście.

O tym, jak ksiądz Karol stał na zielonej ławce



Wiosną, kiedy przyroda budziła się do życia, księdza Karola przeniesiono do parafii św. Floriana w Krakowie. Ludzie mówili, że można go poznać z daleka – po specyficznym uśmiechu, trochę za krótkiej sutannie i berecie z antenką.

Pewnego dnia o poranku do Krakowa przyjechała Cecylia. Zanim nadeszła pora na drugie śniadanie, kilkanaście razy usłyszała nazwisko „Wojtyła”.

– Dlaczego wszyscy o nim mówią? – zaciekała się. – Czyżby był złodziejaszkiem albo politykiem?

Potem wskoczyła na zieloną ławkę jak na mównicę i zapytała:

– Kim jest ten Wojtyła?

No i posypały się odpowiedzi:

– Wojtyła jest księdzem! I nauczycielem. I przewodnikiem podczas pieszych wycieczek. I organizatorem spływów kajakowych. I narciarzem. I założycielem chóru. I aktorem. I miłośnikiem przyrody. I opiekunem chorych – mówili kolejno student Franciszek, wysoki rowerzysta, studentka Gosia, pani z apaszką na szyi, dziewczyna z burzą loków, ośmioletni Filip, profesor w czarnym kapeluszu, wesoły ogrodnik oraz kobieta z wózkiem. A bobas z tego wózka dodawał po swojemu: – I gulu-tulu.

– Jest także opowiadaczem – powiedział pewien ksiądz i wskoczył na ławkę obok dziewczynki. – Oooo! Jak tu pięknie! Świat oglądany z ławki wygląda trochę inaczej niż wtedy, gdy oglądamy go, stojąc obok niej. Proszę zerknąć na tę wiewiórkę. Jest taka... ruda. To gryzoń, który lubi samotne życie. Buduje gniazda z gałęzi i mchu. Dziuple zamienia w spiżarnie. Żywi się nasionami szyszek, orzechami, żołądkami i owadami. Podobno kiedyś ruda wiewiórka uratowała...

Tak opowiadał i opowiadał, a dziewczynka słuchała i słuchała.

– Ojej! Ależ się zagadałem – przerwał nagle i pognał na wykłady. A Cecylia zawołała:

– Ksiądz Wojtyła jest też miłośnikiem wiewiórek!

O tym, jak ksiądz Karol został wujkiem

ytuacja w Polsce bardzo się skomplikowała i zaplątała. Zabroniono księżom spotykania się z młodzieżą poza kościołem.

– To oburzające! – denerwował się Wojtyła. – Mam przestać jeździć z wami na wycieczki. Nie czytać z wami książek. Nie modlić się. Nie rozmawiać. Nie śpiewać. To oburzające! – powtarzał, nerwowo uderzając palcami o blat stołu. – Nikt mi tego nie zabroni. Ale nie martwcie się, moi młodzi przyjaciele. Nie nazywam się Wojtyła, jeśli nie znajdę wyjścia z tej sytuacji! – To powiedziawszy, udał się do biblioteki. By wśród książek znaleźć ukojenie i wymyślić coś, co pozwoli mu rozwiązać ten problem.

– Karolu! Karolu! Karolu! – powtórzył trzy razy swoje imię. Za każdym razem inaczej. Za pierwszym tak, jak by mówił to maluszek, za drugim – jak zły czarodziej, a za trzecim – jak wścibska sąsiadka.

I to małe aktorskie ćwiczenie podsunęło mu sprytny pomysł, o którym natychmiast powiadomił zaprzyjaźnioną młodzież:

– Gdy będę się z wami spotykał, moja sutanna zostanie w szafie, a ja włożę spodnie i koszulę w kratkę.

Kilka miesięcy później ów plan udoskonalila Danusia. Stało się to podczas wyprawy do Zakopanego na krokusy. Wymyśliła pseudonim dla księdza Wojtyły.


– Będziemy mówić do ciebie „Wujku”. Co ty na to?

– A ja na to jak na lato! – zaśmiał się Karol Wojtyła.

I tak oto ksiądz zamienił się w Wujka w spodniach i koszuli w kratkę.

Codziennie wiele godzin spędzał w bibliotekach. Czytał i pisał. Po dwóch latach, jesienią, zapisał ostatnią kartkę pracy habilitacyjnej. A gdy jesień ustąpiła miejsca zimie, został profesorem.

O tym, jak ksiądz Karol został biskupem

 **M**azury przyciągały księdza Wojtyłę jak magnes. A on, i jego kajak zwany „Kaloszem”, z przyjemnością poddawali się temu przyciąganiu. Niekiedy miało ono taką siłę, że ciągnęło za sobą jeszcze młodzież. Pewnego letniego dnia ów magnes pomógł im spakować plecaki, dojechać nad rzekę i wrzucić kajaki na wodę. Potem do nich wskoczył i popłynął. Z przodu płynął ksiądz Karol w „Kaloszu”, za nim pozostali. Było cicho i czasami mokro. Wiosła zagarniały wodę, która przyjemnie chlupała.

Nagle ich chlupiącą podróż zmącił listonosz. Jechał wzdłuż rzeki i coś wykrzykiwał.

– Podpłynmy do brzegu! Może potrzebuje pomocy – zawołał ksiądz. I podpłynęli.

– Co się stało? – spytali.

– Mam telegram – wysapał doręczyciel listów. – Mam telegram do księdza Wojtyły.

– Do mnie? – zdziwił się ksiądz Karol i natychmiast wyskoczył z kajaka.

Pośpiesznie przeczytał wiadomość i zamilkł. Jakby telegram odebrał mu głos.

– Coś się stało? – zaniepokoił się pozostali. – Coś dobrego czy coś złego?

– Nie wiem – westchnął Wujek. – Ksiądz prymas mnie wzywa. I to natychmiast.

– No to płynmy, lećmy, to znaczy jedźmy – mówili jeden przez drugiego.

Kilka godzin później byli już w Warszawie. Ksiądz pobiegł do prymasa, a młodzi przyjaciele czekali na niego na ulicy.

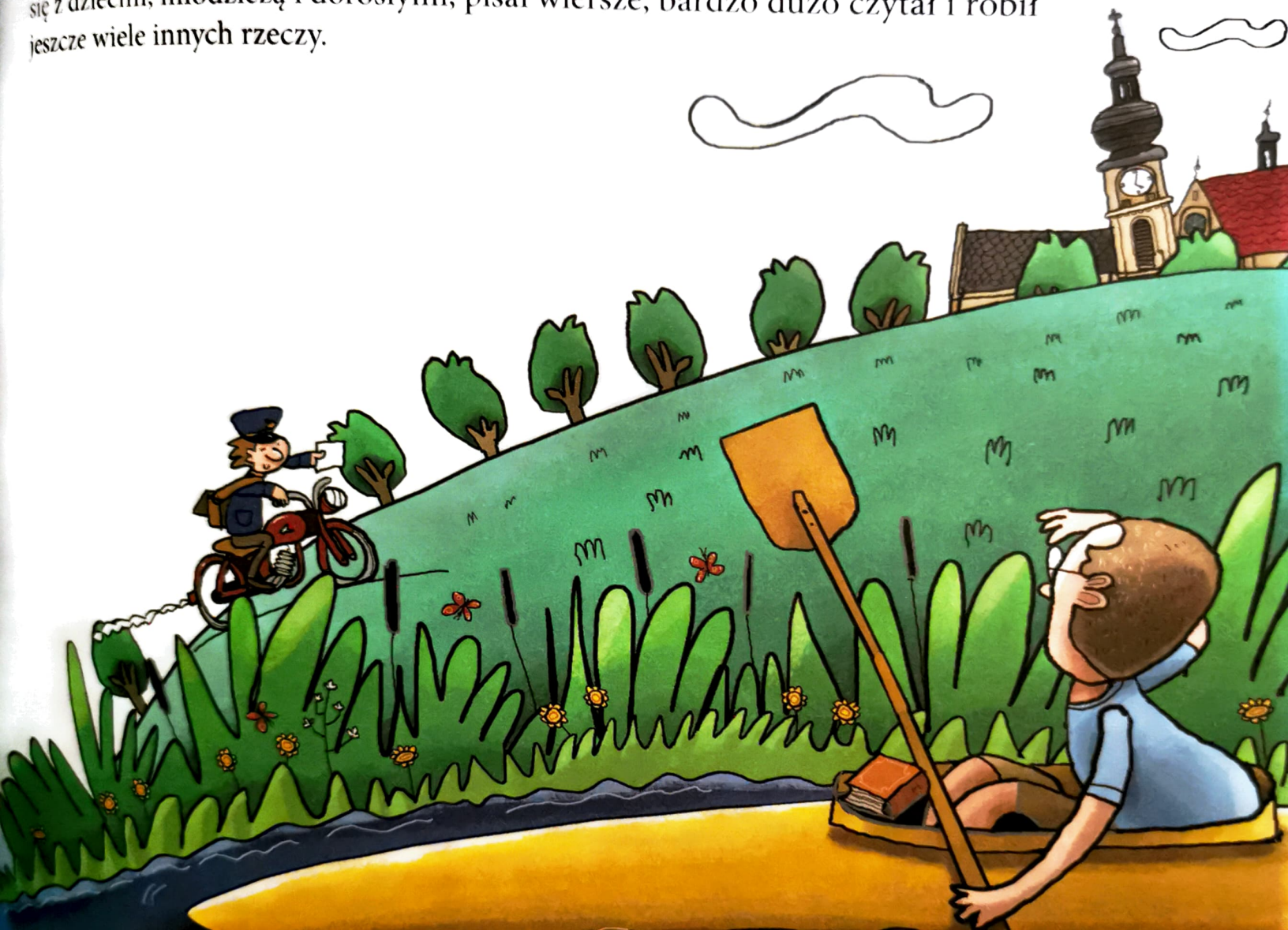
– I co? I co? I co? – pytali, gdy wyszedł.

– I... Otrzymałem nominację na biskupa.

– To cudownie, to cudownie – powtarzali młodzi.

We wrześniu w katedrze wawelskiej trzydziestoosmioletni ksiądz Wojtyła przyjął święcenia biskupie. Został najmłodszym członkiem episkopatu. Przeprowadził się do mieszkania przy ulicy Kanoniczej 21 i każdą minutę próbował wykorzystać jak najlepiej. Wizytował parafie, święcił kościoły i kaplice, bierzmował, wygłaszał kazania,

udzielał święceń kapłańskich, odwiedzał domy zakonne, pracował naukowo, spotykał się z dziećmi, młodzieżą i dorosłymi, pisał wiersze, bardzo dużo czytał i robił jeszcze wiele innych rzeczy.



O tym, jak biskup Wojtyła został arcybiskupem



o Bazyliki św. Piotra w Rzymie przybyli kardynałowie i biskupi z całego świata. Zaprosił ich na spotkanie papież Jan XXIII. Spotkanie to nazwał Soborem Watykańskim II. Rozmawiano o Kościele, rodzinie, miłości, modlitwie, wierze i pomocy potrzebującym. I choć trudno w to uwierzyć, sobór trwał cztery lata! Ale to nie oznacza, że jego uczestnicy przez cały czas mieszkali w Rzymie. Nie, nie. Przyjeżdżali tylko na obrady, a po ich zakończeniu wracali do swoich krajów.

Pewnego razu pani, która froterowała podłogę korytarza prowadzącego do poszczególnych sal, zaobserwowała, że jeden z biskupów dziwnie się zachowuje. Wybiegał z jednej sali, pędził do drugiej. Z drugiej do trzeciej. Z trzeciej do czwartej. Z czwartej znowu do pierwszej. Z pierwszej do ósmej. Z ósmej do szóstej. I tak przez cały dzień.

– Jestem pewna, że on wagaruje – powiedziała dyskretnie do swojej koleżanki. – Chodź ze mną, to się sama przekonasz.

Kilka minut później panie przyczyaiły się w miejscu, z którego spokojnie można było obserwować. A one były niewidoczne.

– To nie wagarowicz – szepnęła druga pani. – To biskup Wojtyła. On jest ciągle głodny wiedzy i dlatego uczestniczy w spotkaniach prawie wszystkich grup. Gdy jedna zarządza przerwę, krótką lub długą, natychmiast biegnie do drugiej grupy. A że zna francuski, niemiecki, angielski, włoski i hiszpański, z łatwością rozmawia ze wszystkimi. W dodatku ma mnóstwo energii i doskonałą koncentrację. Kiedyś usłyszałam, jak jeden z biskupów mówił, że Karol Wojtyła jest wybitną osobą, ale najskromniejszą spośród tych, które kiedykolwiek spotkał.

Soborowe lata były dla biskupa Karola wyjątkowe. W tym czasie został arcybiskupem Krakowa, a także udał się do Ziemi Świętej. Aby wędrować śladami Jezusa i Apostołów.

O tym, jak arcybiskup Wojtyła został kardynałem



Pewnego dnia Karol Wojtyła został kardynałem. Podczas uroczystości w Rzymie złożył ślubowanie, a papież wręczył mu czerwony kardynalski kapelusz. Wracając do Polski, kardynał zaczął planować: „Jestem kardynałem, więc chcę i muszę zająć się tym, tym i tym. Także tym i tamtym. Temu też się muszę przyjrzeć, i tamtemu także. Pochylenie się nad tym jest moim obowiązkiem, a to nie może umknąć mojej uwadze. No i jeszcze to. Ci potrzebują mnie bardziej niż deszczu, a tym muszę dodać energii”.

Kilka dni później podczas obiadu z przyjaciółmi pochwalił się swoimi planami.

– To niewykonalne – stwierdził właściciel muszki, wsuwając widelec pod górkę marchewki z groszkiem.

– Na to potrzeba bardzo dużo czasu – dodał niejadek.

A pani Julia, nalewając do miseczki kolejną porcję zupy jarzynowej, spytała:

– Księżę kardynale, ale jak chcesz na to wszystko znaleźć czas?

– Tego jeszcze nie wiem. Wiem jednak, że najmniej czasu mają ci, którzy nic nie robią. I jeszcze jedno: nie będę marnował ani minuty. Dlatego po obiedzie pędzę do stolarza. On pomoże mi nie tracić cennych minut.

– Nie chcę być niegrzeczny... – nieśmiało wtrącił się pan Jan – ale wydaje mi się, że czasem zajmuje się zegarmistrz, a nie stolarz.

– Uwierz mi, Janie, stolarz też zajmuje się czasem. – Kardynał Wojtyła uśmiechnął się tajemniczo i po obiedzie udał się do stolarni.

Podobno przyjaciele, pchani ciekawością, podążyli za nim i z ukrycia obserwowali, co się dzieje.

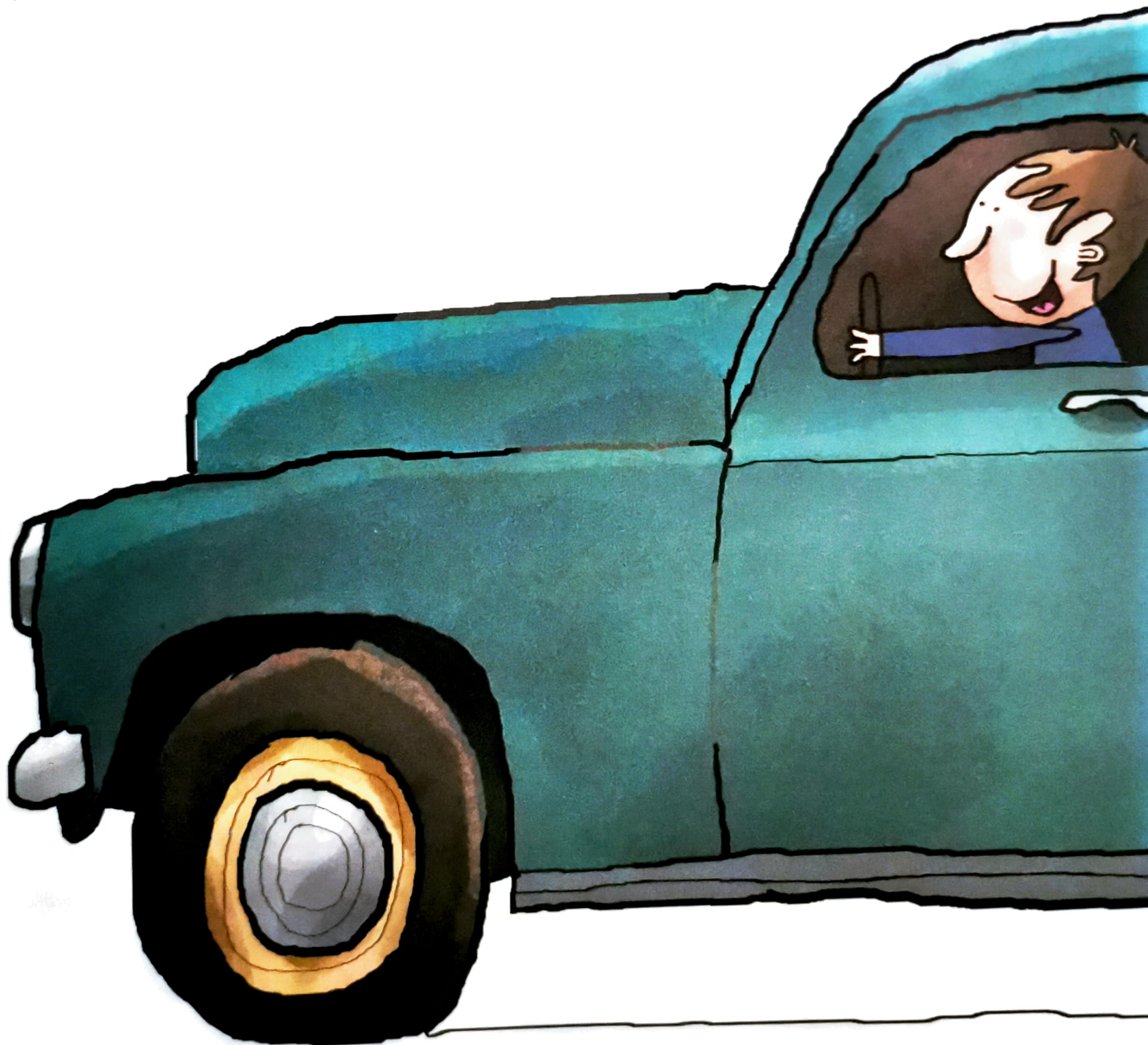
– Potrzebny jest mi stolik – zwrócił się kardynał Wojtyła do stolarza.

– Ma być duży czy mały? Okrągły czy prostokątny? Wysoki czy niski? Ciemny czy jasny? Błyszczący czy matowy? – pytał stolarz.

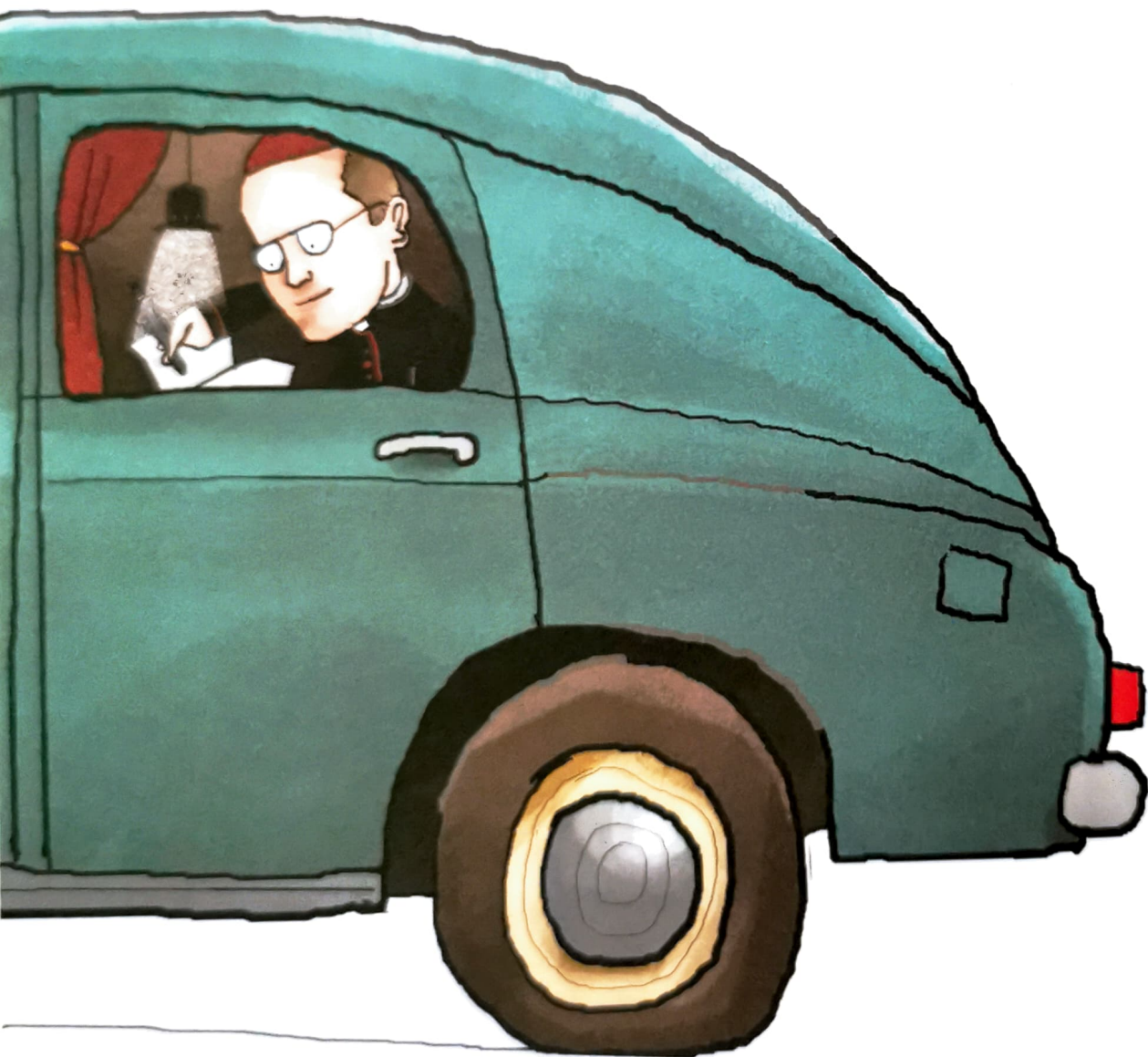
– Samochodowy – odparł krótko klient.

- Samochodowy?!
- Tak, samochodowy – powtórzy kardynał i opisał, jak stolik ma wyglądać.
- Jeszcze nigdy nie robiłem takiego stolika, ale zrobię – zapewnił właściciel stolarni i ochoczo wziął się do pracy.

Następnego dnia w starym samochodzie kardynała był już stoliczek.
Znalazły się tam również mała półka na książki oraz lampka.



Ktoś kiedyś powiedział, że kardynał Stefan Wyszyński porównał kardynała Wojtyłę do arabskiego filozofa, który żył w XI wieku. Oraz do Gottfrieda Wilhelma Leibniza, niemieckiego filozofa i matematyka, który żył na przełomie XVII i XVIII wieku. Pierwszy z nich, aby pracować nawet w podróży, zażądał wykonania lektyki rozpiętej między czterema wielbłędami. Drugi przerobił karetkę na warsztat naukowy.



O tym, jak kardynał Karol Wojtyła został papieżem



Był sierpień, kiedy do kardynała Wojtyły dotarła smutna wiadomość: „Nie żyje papież Paweł VI”.

– Karolu, zmiana planów – szepnął do siebie kardynał. Natychmiast przerwał wakacje i pojechał na pogrzeb do Watykanu.

Tuż po pogrzebie odbyły się wybory nowego papieża, czyli konklawe. Uczestniczyli w nim kardynałowie z całego świata. Podczas Mszy Świętej modlili się o pomyślny wybór papieża i złożyli przysięgę, że będą milczeć jak kamienie. Nikomu nie udzielą żadnych informacji na temat głosowania, nawet swojej ulubionej sąsiadce lub najlepszemu przyjacielowi. Potem każdemu z nich przydzielono skromny pokój z łóżkiem i stołem, ale bez telewizora i radioodbiornika. I poinformowano, że nie mogą kontaktować się ze sobą, pić wspólnie herbaty i rozmawiać o tym, kto powinien zostać nowym następcą Świętego Piotra. Każdy z nich w samotności i ciszy miał zdecydować, kto nim zostanie. Po kilku dniach osamotnienia i modlitwy kardynałowie spotkali się w kaplicy Sykstyńskiej. Zagłosowali i wybrali na papieża arcybiskupa Wenecji Albino Lucianiego.

– Przyjmuję imię Jan Paweł I – ogłosił nowy papież i promiennie się uśmiechnął.

A że był to uśmiech zaraźliwy, wielu ludzi się nim zaraziło i zaczęło się uśmiechać.

Niestety, po kilku dniach uśmiechy zniknęły, bo świat obiegła nieuśmiechnięta informacja. Zmarł Jan Paweł I. Był papieżem zaledwie trzydzieści trzy dni.

– Niezbadane są wyroki Boga, chylmy przed nimi głowę – powiedział wtedy kardynał Wojtyła. Po czym spakował walizkę i ponownie udał się do Watykanu.

Po pogrzebie rozpoczęło się konklawe. Podczas Mszy Świętej Karol Wojtyła modlił się o pomyślny wybór nowego papieża i złożył przysięgę, że będzie milczał jak kamień. Nikomu nie udzieli żadnych informacji na temat głosowania. Nawet swojej ulubionej sąsiadce lub najlepszemu przyjacielowi. Potem przydzielono mu skromny pokój z łóż-

kiem i stołem, ale bez telewizora i radioodbiornika. I poinformowano, że nie może kontaktować się z innymi kardynałami, pić z nimi herbaty i rozmawiać o tym, kto powinien zostać nowym następcą Świętego Piotra. W samotności i ciszy miał zdecydować, kto nim zostanie.

Po kilku dniach spotkał się z innymi kardynałami w kaplicy Sykstyńskiej, by zagłosować. W pierwszym głosowaniu kardynałowie nie wybrali nowego papieża. W drugim też nie. Podobnie w trzecim i czwartym.

– Trudno – westchnęli i powrócili do swoich pokoi.

Następnego dnia znowu się spotkali i zaczęli głosować. W pierwszym głosowaniu nie wybrali nowego papieża. W drugim głosowaniu nie wybrali nowego papieża. W trzecim głosowaniu nie wybrali nowego papieża. W czwartym głosowaniu nie wybrali nowego papieża. W piątym głosowaniu nie wybrali nowego papieża. W szóstym głosowaniu nie



wybrali nowego papieża. W siódmym głosowaniu nie wybrali nowego papieża. Udało im się to dopiero w ósmym. Nowy papież otrzymał aż dziewięćdziesiąt dziewięć na sto jedenastu głosów.

O godzinie 18.18 nad kaplicą Sykstyńską pojawił się biały dym. Był to znak dla mieszkanek i mieszkańców Ziemi, że wybrano papieża.

– Kto nim został? Kto nim został? Kto nim został? – pytano na całym świecie. Wkrótce wszystko się wyjaśniło. Zabrzmiały dźwięki orkiestry. Na plac św. Piotra weszła Gwardia Szwajcarska niosąca flagę papieską. A reflektor rozświetlił loggię bazyliki, w której stał kardynał Pericle Felici.

– *Habemus papam!* – powiedział kardynał, co oznacza: „Mamy papieża!”. Po czym dodał, że papieżem został kardynał Karol Wojtyła z Polski.

Trzydzieści sześć minut później w loggii pojawił się spokojny i uśmiechnięty nowo wybrany papież, który przyjął imię Jan Paweł II.

Po burzy oklasków przemówił:

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Najdrożsi Bracia i Siostry! Jesteśmy jeszcze wszyscy pogrążeni w bólu po śmierci ukochanego papieża Jana Pawła I. I oto najczcigodniejsi kardynałowie powołali nowego biskupa Rzymu. Wezwali go z dalekiego kraju. Dalekiego, ale zawsze tak bliskiego przez wspólnotę wiary i tradycji chrześcijańskiej. Bałem się przyjąć ten wybór, ale zrobiłem to w duchu posłuszeństwa Panu naszemu Jezusowi Chrystusowi i w całkowitym zaufaniu Jego Matce, Najświętszej Maryi Pannie. Nie wiem, czy będę umiał dobrze wysławić się w waszym... naszym języku włoskim. Gdybym się pomylił, poprawcie mnie. Oto stoję przed wami, aby wyznaczyć naszą wspólną wiarę, naszą nadzieję i naszą ufność w Matkę Chrystusa i Matkę Kościoła, a także rozpocząć od nowa tę drogę historii Kościoła – rozpocząć z pomocą Boga i pomocą ludzi.

I tak Karolek z Wadowic został papieżem w Watykanie.

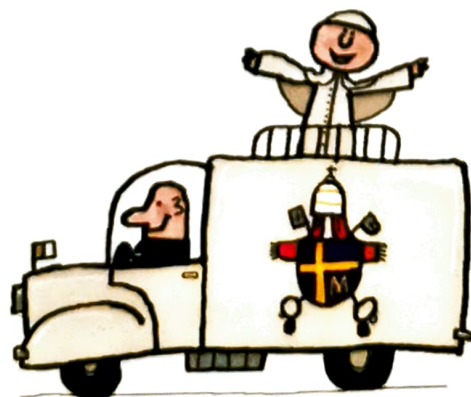
- Koniec – westchnęłam, gdy ostatnie odczytane zdanie udało się do przeszłości.
 - Koniec książki, ale początek pontyfikatu – uzupełniła ciocia.
 - Ponty... co? – dopytałam, bo słowo to brzmiało dla mnie obco.
 - Pontyfikatu, Juleczko – powtórzyła wolno Apolonia Migdał i wyjaśniła, że jest to okres sprawowania władzy w Kościele Katolickim przez papieża. Dodała jeszcze, że pontyfikat Jana Pawła II trwał dwadzieścia sześć lat, pięć miesięcy i siedemnaście dni.
 - Ciociu, opowiesz mi o nim? – poprosiłam, ale ciocia nie odpowiedziała, tylko pobiegła do kuchni. Podreptałam za nią. – O rany! – zawołałam na widok ciasta, które tak urosło, że zaczęło opuszczać emaliowaną miskę. Było miękkie, delikatne i puszyste. Przełożyłyśmy je na stolnicę, a ciocia uformowała z niego dwa zgrabne bochenki. Godzinę później w całym domu pachniało jak w piekarni.
 - To dla ciebie i twoich rodziców – powiedziała ciocia, podając mi chleb. Był jak termofor, kiedy brnęłam przez zaspę do domu.
 - Mamo, tato! Wróciłam! – zawołałam z przedpokoju, zrzucając z siebie ośnieżone ubranie i wysuwając nogi z kozaczków.
 - Ja też już jestem, córeczko – rozpromieniła się mama.
 - A ja przed chwilą wysłałam artykuł do redakcji – pochwalił się tata. – Jeśli więc jeszcze potrzebujesz mojej pomocy, to chętnie ci pomogę.
 - Potrzebuję – przytaknęłam z uśmiechem. – Sama nie dam rady pokroić tego świeżutkiego chleba.
- Po kilku minutach tata kroił chleb, mama smarowała kromki masłem, a ja opowiadałam. O tym, jak Karolek strzelił gola. O tym, jak ksiądz Karol siedział w „Kaloszu”. O tym, jak kardynał Wojtyła został papieżem. I jeszcze o tym, i o tamtym.

W piątek opowiadałam nauczycielce o Karolku, a w sobotę ciocia opowiedziała mi o pontyfikacie Jana Pawła II. Ale to już zupełnie inna historia.

KALENDARIUM

- 18 maja 1920** – w Wadowicach urodził się Karolek Wojtyła
- 20 czerwca 1920** – został ochrzczony w wadowickim kościele pw. Ofiarowania Najświętszej Maryi Panny
- wrzesień 1926** – zostaje uczniem szkoły powszechnej (podstawowej)
- 25 maja 1929** – przystępuje do Pierwszej Komunii Świętej
- wrzesień 1930** – zostaje uczniem gimnazjum
- 3 maja 1938** – przystępuje do sakramentu bierzmowania
- maj 1938** – zdaje maturę
- sierpień 1938** – przeprowadza się wraz z ojcem do Krakowa
- październik 1938** – zostaje studentem polonistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim
- wrzesień 1940** – rozpoczyna pracę w kamieniołomach i fabryce chemicznej
- sierpień 1941** – zostaje aktorem Teatru Rapsodycznego
- październik 1942** – rozpoczyna studia teologiczne w Krakowie
- 1 listopada 1945** – zostaje asystentem na Wydziale Teologicznym
- 1 listopada 1946** – przyjmuje święcenia kapłańskie

15 listopada 1946 – wyjeżdża na studia doktoranckie do Rzymu
19 czerwca 1948 – zdaje egzaminy doktorskie
28 lipca 1948 – zostaje wikarym w Niegowici
17 marca 1949 – rozpoczyna pracę w parafii św. Floriana w Krakowie
grudzień 1953 – broni pracy habilitacyjnej na Uniwersytecie Jagiellońskim
12 października 1954 – zostaje wykładowcą na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim
28 września 1958 – zostaje biskupem
13 stycznia 1964 – zostaje arcybiskupem
28 czerwca 1967 – zostaje kardynałem
16 października 1978 – zostaje papieżem
22 października 1978 – uroczysta inauguracja pontyfikatu Jana Pawła II na placu św. Piotra w Rzymie



3576

SPIS TREŚCI

O tym, jak w małym miasteczku urodził się chłopczyk	10
O tym, jak Karolek zadawał mnóstwo pytań	12
O tym, jak bramkarz strzelił gola	14
O tym, jak Karol po raz ostatni pocałował mamę	16
O tym, jak Karol po raz pierwszy przyjął do serca Pana Jezusa	18
O tym, jak starszy brat niósł młodszego	20
O tym, jak Karol i pan Karol otrzymali telegram	22
O tym, jak Karol poznał księdza Figlewicza	24
O tym, jak Karol był podwójnym aktorem	26
O tym, jak Karol pożerał książki	28
O tym, jak Karol zyskał nowego brata	30
O tym, jak Karol rozmawiał z dziewczynką	32
O tym, jak Karol poznał krawca Jana	35
O tym, jak Karol pracował w kamieniołomach	38
O tym, jak Karol podjął ważną decyzję	40
O tym, jak kleryk Karol rozdawał chleb	44
O tym, jak Karol został księdzem	48
O tym, jak Ojciec Pio przepowiedział Karolowi przyszłość	50
O tym, jak ksiądz Karol został wikarym	52
O tym, jak ksiądz Karol stał na zielonej ławce	54
O tym, jak ksiądz Karol został wujkiem	56
O tym, jak ksiądz Karol został biskupem	58
O tym, jak biskup Wojtyła został arcybiskupem	60
O tym, jak arcybiskup Wojtyła został kardynałem	62
O tym, jak kardynał Karol Wojtyła został papieżem	65
Kalendarium	70